DOSTATKU DÓBR POŻĄDANYCH,
A GŁÓWNIE RADOŚCI
— PODCZAS NADCHODZĄCYCH ŚWIĄT,
TAKOŻ ROKU 1988 — ŻYCZY REDAKCJA

KONTAKTY

ŁOMZYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY ▒ PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

52
(376)
KONTAKTY
1987-12-27
1988-01-03

cena
30 zł

Rys. Zdzisława Wójcickiego

KONKURS

CZY ZNASZ WOJEWÓDZTWO ŁOMŻYŃSKIE?

Wszystkich Czytelników zapraszamy do wzięcia udziału w naszym świątecznym konkursie. Pytania są i proste, i nieco trudniejsze, ale też jest o co grać. Wśród tych, którzy nadeślą prawidłowe odpowiedzi, rozlosujemy atrakcyjne nagrody:

- TONĘ WĘGLA
  (Zarząd WZGS w Łomży)
- WOREK PAPIERU TOALETOWEGO
  (Dar anonimowego Czytelnika)
- PROSIAKA
  (Białostockie Wydawnictwo Prasowe)

Przy każdym z pytań istnieją trzy możliwości odpowiedzi (a, b, c). W rozwiązaniach, najlepiej na kartkach pocztowych, prosimy zaznaczyć numer pytania i odpowiednią literę.

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 10 stycznia 1988 roku („Kontakty", 18—400, Łomża, ul. Świerczewskiego 7).

Zapraszamy do zabawy.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

WIESŁAW JANICKI

PRZY OKRĄGŁYM ŻŁOBIE

Powszechnie wiadomo, że w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem, a że nie potrafią one kłamać — kłamstwo jest bowiem cechą wyłącznie człowieczą — to, co mówią, bywa zawsze bardzo interesujące. Naszemu reporterowi udało się zgromadzić w jednym pomieszczeniu przedstawicieli kilku różnych gatunków zwierząt mniej lub bardziej udomowionych, które zaprosił do wspólnej z nim dyskusji. Oto ciekawsze jej fragmenty, przepisane z taśmy magnetofonowej.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

DRODZY CZYTELNICY!

Informujemy, iż następny numer „KONTAKTÓW", datowany 10 I 1988 r., ukaże się we czwartek - 7 stycznia.

NA XXIII SESJI Wojewódzkiej Rady Narodowej radni podjęli uchwały w sprawie stanu i kierunków w rozwoju transportu, komunikacji i łączności do roku 1990 oraz zadań w dziedzinie modernizacji i rozbudowy sieci energetycznej wsi do 1990 r. (zatwierdzili program jej rozbudowy do roku 1995). Komentarz zamieszczamy poniżej.

Rada zapoznała się z informacją o wykonaniu programu ochrony środowiska w Łomżyńskiem na lata 1983—1990 oraz zatwierdziła zasady ustalania odszkodowań za wywłaszczone grunty. Radnj przyjęli wniosek wojewody o wprowadzenie do wojewódzkiego planu rocznego na 1987 r. dwóch inwestycji: budowy szkoły podstawowej w Grannem (poprzednia spłonęła) oraz modernizacji i rozbudowy szkoły podstawowej w Szczuczynie. Wyrazili również zgodę na udzielenie z funduszu zasobowego budżetu województwa dotacji Łomżyńskiemu Przedsiębiorstwu Budowlanemu (38 mln) na spłatę kredytu inwestycyjnego. Nie doszło natomiast do podjęcia uchwały w sprawie utworzenia parków krajobrazowych: Biebrzańskiego i Narwiańskiego (z powodu zastrzeżeń zgłoszonych przez radnych-rolników z gmin, w których znajdą się otuliny obu parków).

NA II ZEBRANIU delegatów Wojewódzkiego Porozumienia Związków Zawodowych spotkało się 135 związkowców z całego województwa. Na przewodniczącą WPZZ wybrano ponownie Wandę Marcinkowską, a na wiceprzewodniczących — Ludwika Zarębę, Stanisława Tarasewicza, Bogusława Niemczuka. Podczas dyskusji delegaci poruszali tematy najbardziej interesujące ich środowiska zawodowe. Mówiono m. in. o zapóźnieniu w rozwoju gospodarki komunalnej, sytuacji mieszkaniowej nauczycieli w mieście i na wsi, roli inspektorów BHP w zakładach, dodatkach do emerytur z tytułu przyznanych odznaczeń państwowych, niedawnej akcji protestacyjnej związku zawodowego budowlanych. Jeden z delegatów — w imieniu swojej organizacji — zażądał wpisania do kalendarza święta włókniarza.

NA IV ZEBRANIU Sprawozdawczo-Wyborczym Rady Wojewódzkiej Naczelnej Organizacji Technicznej, skupiającej 3100 członków w 150 kołach zakładowych, delegaci na przewodniczącego RW NOT wybrali Mariana Koćwina. Wiceprzewodniczącymi zostali: Jerzy Bilmin, Jan Jamiołkowski i Janusz Karpiński, a sekretarzem — Andrzej Sobolewski. W czwartym kwartale przyszłego roku siedziba organizacji zostanie przeniesiona do budowanego obecnie Domu Technika przy zbiegu ulic Świerczewskiego i Armii Czerwonej w Łomży.

MIJAJĄCY ROK korzystnie wypadł w statystykach Prokuratury Wojewódzkiej. O 8 proc. zmniejszyła się liczba zakończonych aktem oskarżenia śledztw; o 12 proc. — śledztw rozpoczętych i trwających. Spadła zwłaszcza ilość najcięższych przestępstw: zabójstw, rozbojów, gwałtów, a także afer gospodarczych i włamań do budynków gospodarki uspołecznionej. Odnotowano niewielki wzrost włamań do mieszkań i obiektów prywatnych (piwnice, samochody) oraz kradzieży kieszonkowych. Przestępstwa ciężkie wykrywane są w 94—100 proc. Organa ścigania w Łomżyńskiem nie mogą się, niestety, pochwalić równie wysoką wykrywalnością przestępstw pospolitych (kradzieże, włamania); tylko 60 proc. złodziei i włamywaczy trafia przed sąd. Najwięcej przestępstw popełniono w rejonie Łomży i Kolna.

ŁAGODNA I DŁUGA JESIEŃ sprzyjała rolnikom. Skup zbóż za jedenaście miesięcy br. wyniósł 51 500 ton i był o 8,9 proc. wyższy niż przed rokiem. Na okres od grudnia 1987 do lutego 1988 zakontraktowano 86 500 sztuk trzody chlewnej (o 10 proc. mniej niż przed rokiem) i 14 300 sztuk bydła rzeźnego (o 12,2 proc. mniej). W porównaniu z listopadem 1986 znacznie wzrosły ceny płodów rolnych (najwyżej zbóż ozimych i ziemniaków — 46,4 i 45,8 proc.) i zwierząt gospodarskich (najwyżej źrebaka i konia roboczego — o 72 proc.).

KILKA TYSIĘCY starych przepisów kuchni kurpiowskiej, podlaskiej i mazowieckiej wpłynęło na konkurs, ogłoszony przez Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka" i redakcję „Kontaktów"; najlepsze znajdą się — w przygotowywanej przez „Stopkę" — książce kucharskiej (ukaże się na rok). Osoby, które przysłały najciekawsze receptury, zostały uhonorowane nagrodami pieniężnymi. Uroczystości wręczenia nagród towarzyszył pokaz potraw, przyrządzonych według ludowych recept przez pięć zakładów gastronomicznych, należących do PSS „Społem" w Łomży. Specjalne jury pod kierownictwem znanego literata i smakosza, Piotra Kuncewicza, palmę pierwszeństwa przyznało kuchni restauracji „Kameralna", a drugie miejsce — „Matysiakom". Łomżyńska gastronomia wprowadzi te potrawy na stałe do swoich jadłospisów.

ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ konkurs Wydziału Kultury i Sztuki, Stowarzyszenia Twórców Ludowych, Wojewódzkiego Domu Kultury i Muzeum Okręgowego na najlepsze prace twórców ludowych z terenu woj. łomżyńskiego. W dziedzinie koronek i haftu I miejsce zdobyła Wacława Majewska z Łomży, II — Alicja Piotrowska z Młynika i Zofia Kulesza z Łomży, III — Romualda Czajkowska ze wsi Truskolasy Lachy; w dziedzinie kowalstwa nagrodzono Wincentego Chętnika z Mątwicy i Dominika Ustaszewskiego z Jankowa Młodzianowa; laureatem został też garncarz Zygmunt Grajewski ze Szczuczyna. Plon konkursu oglądać można na wystawie w Muzeum Okręgowym.

Z OKAZJI 80-LECIA ruchu laickiego w Polsce Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej zorganizował sesję popularno-naukową, podczas której okolicznościowe referaty wygłosili przedstawiciele Zarządu Głównego.

MIEJSKO-GMINNY Komitet Stronnictwa Demokratycznego powstał w Rajgrodzie. W uchwale programowej podkreślono zwłaszcza działalność w miejscu zamieszkania. Organizacja liczy 63 członków.

NA „ŚWIĘTY WIECZÓR" (w dniu 6 stycznia o godz. 17.00) zaprasza Gminny Ośrodek Kultury w Bogutach. Będzie to spotkanie kolędników, którzy odtworzą obrzędy i obyczaje związane z Bożym Narodzeniem na Podlasiu.

CENY NA TARGU w Ciechanowcu; żyto — 2700 zł za q, pszenica — 3400, owies — 3000, jęczmień — 3300, mieszanki zbożowe — 3000, ziemniaki — 1200; główka kapusty — 60—80 zł, czosnku — 50—100 zł; kilogram jabłek — 250—450, marchwi — 50 zł, pietruszki — 60, cebuli — 50; gęś — 2000, kaczka — 1200—1500, indyk — 2200—3000, kurczak — 700; para prosiąt — 12—14 tys., warchlaków — 23—30 tys., krowa z przychówkiem — 120—150 tys., owca na rzeź — 12—15 tys., koń roboczy — 150—220 tys.; przędza wełniana — 6000 zł za kg, pierze gęsie — 4000, skóra barania — 14—15 tys., jaja — 26 zł sztuka, grzyby suszone — 10—14 tys. za kg, mak — 1500 za kg.

z przyjaznych szpalt

„Łagodny... jak kartofel" to tytuł artykułu Józefa Kępki, opublikowanego na łamach „Przeglądu Technicznego" (nr 50), traktującego o polskim przemyśle ziemniaczanym. Oto fragmenty:

„Roczna produkcja mączki ziemniaczanej na poziomie 200 tys. ton nie tylko wystarcza na zaspokojenie potrzeb krajowych, ale jeszcze 30—40 tys. ton pozostaje na eksport. Wróciliśmy z nią na światowe rynki po fatalnym — i dla produkcji ziemniaków, i przetwarzającego je przemysłu — początku lat osiemdziesiątych, kiedy to po raz pierwszy od 1921 r. z eksportera staliśmy się jej importerem. Skrobia stanowi produkt wyjściowy dla bardzo wielu wyrobów finalnych, takich jak np. witaminy, antybiotyki, tworzywa sztuczne, glukoza. [...] W sumie 68 branżom przemysłu nasz przemysł ziemniaczany dostarcza składniki dla ok. 1000 wyrobów finalnych.

Niech jednak nikogo nie zwiodą te imponujące dane. W Austrii produkuje się samych tylko klejów skrobiowych 200 rodzajów, a u nas tylko 8. Tam wytwarza się co najmniej kilkanaście rodzajów klejów do klejenia bibułek papierosowych, u nas zaledwie jeden rodzaj. [...] Dlaczego więc mamy kłopoty z upłynnieniem większych ilości mączki ziemniaczanej na światowych rynkach? Dlatego że popyt na mączkę jest, ale określonej, wysokiej jakości — przede wszystkim zaś na pochodne skrobi, albo, jak kto woli, na tzw. jej modyfikaty, produkcja których wymaga skomplikowanych, finezyjnych technologii. Na przykład Japończycy kupiliby znaczne ilości naszej mączki, gdyby jej lepkość była dwa razy większa niż jest obecnie — usłyszałem w Krajowym Zrzeszeniu Przemysłu Ziemniaczanego. Z kolei w Departamencie Przemysłu Rolno-Spożywczego MRLiGŻ powiedziano mi, iż 10 lat temu jakość naszej mączki mogła uchodzić za znakomitą, a teraz to nie ma o czym mówić. Fachowcy ze Zrzeszenia, odpowiedzialni za sprawy techniki, idą jeszcze dalej twierdząc, iż przemysł ziemniaczany pod względem technologicznym odstaje od zachodniego o 15—20 lat."

personalia

Mieczysław Bagiński został prezesem Zarządu Wojewódzkiej Federacji Sportu.

zaprosili nas

Szkoła Podstawowa nr 7 w Łomży i Komitet Rodzicielski — na jubileusz 30-lecia.

sprostowanie

Do informacji o XI Kongresie „Samopomocy Chłopskiej" (w poprzednim numerze) zakradł się błąd: Hilary Karwowski, członek delegacji łomżyńskiej, został wybrany w skład nowej Rady Centralnego Związku, a nie — jak mylnie podaliśmy — w skład Zarządu. Przepraszamy.

zdanie tygodnia

— W procesie reform przeszkadza nam to, iż nie bardzo wiemy, jak ten socjalizm ma wyglądać.

Prof. Józef Kaleta

myśl z atestem

„Odwaga jest to wiedza o tym, czego się bać trzeba, a czego nie."

Platon

zdarzenia tygodnia

NA GORĄCO

Tak się złożyło, że na XXIII sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej dyskutowano o krwiobiegu i systemie nerwowym województwa, czyli o transporcie, łączności, komunikacji i sieci energetycznej. Diagnoza była jednoznaczna: jest źle, a nawet jeszcze gorzej. Tym razem jednak, choć wszyscy byli zgodni w krytyce, nie obarczano winą za ten stan rzeczy żadnego dyrektora czy instytucji (może z wyjątkiem PKS-u). Jako przyczynę wymieniano historyczne zapóźnienie. Nie zwalnia to wcale gospodarzy województwa z obowiązku odrabiania zaległości, choć czasy wybitnie temu nie sprzyjają.

Na początek — drogi W Łomżyńskiem na 100 km przypada 40,6 km dróg twardych, w kraju 49,5; w tym ulepszonych — 23,4, w kraju — 41,9. Wynika z tego, że jest to najsłabsza sieć w Polsce, zarówno pod względem gęstości, jak i jakości dróg. 35 mostów także znajduje się w bardzo kiepskim stanie. Raport Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji określa stan jednej czwartej naszych dróg jako zły. Obecny na sesji dyrektor Okręgowego Zarządu Dróg Publicznych w Białymstoku stwierdził, że ta liczba i tak jest zbyt optymistyczna, zaś na wyrażoną obawę o dekapitalizację utwardzonych dróg w Łomżyńskiem odparł, iż nie ma się czego obawiać — żeby coś się mogło zdekapitalizować, musi najpierw istnieć. Nasz transport opiera się wyłącznie na PKS-ie; szlaków kolejowych prawie nie ma, a na dodatek od 1 czerwca tego roku Okręgowa Dyrekcja Kolei Państwowych w Warszawie zlikwidowała bezpośrednie połączenie Łomży ze stolicą. Największy przewoźnik — PKS — coraz dalszy jest od zaspokajania potrzeb w dziedzinie „ogólnodostępnych przewozów pasażerskich". Coraz więcej czasu i samochodów zajmuje mu wożenie pracowników do zakładów i dzieci do szkół. Poza tym ilość autobusów systematycznie maleje: w 1985 roku było ich 233, a w dwa lata później — 227. Nie dość, że z każdym rokiem trudniej poruszać się po województwie, to jeszcze od paru lat nie można porozumieć się z transportowym monopolistą co do pewnych, zdawałoby się prostych, spraw. Zdarza się bowiem, iż autobus na stację kolejową w Szepietowie wjeżdża p l a n o w o w kilka minut po odjeździe pociągu, z innych odjeżdża — tuż p r z e d przyjazdem. Pasażerowie muszą czekać nieraz i dwie godziny.

UKŁAD KRĄŻENIA

O telefonach pisaliśmy już nieraz; warto jednak przypomnieć, że pod względem ich ilości na 1000 mieszkańców zajmujemy 44 miejsce w kraju. Aż 72 proc. naszych central uruchamia się korbką. Na 109 urzędów pocztowo-telekomunikacyjnych ledwie 19 posiada przyzwoite pomieszczenia. Odrabianie zaległości w tej dziedzinie idzie jak po grudzie: to nie ma kabla, to znów odpowiednich central itp.

Sieć zasilania energetycznego wsi powstała w ramach powszechnej elektryfikacji w latach 1950—65. Nie jest więc przystosowana do obecnych potrzeb, do tego jej zużycie sięga 40 procent! Powoduje to nieustanne przeciążenie sieci, a w rezultacie — awarie. Przerwy w dostarczaniu prądu trwają każdego roku średnio 60 tys. godzin!

Potrzeby są — jak widać — ogromne. Plany, przedłożone radnym, nie zawierają rewelacyjnych sposobów odrobienia zaległości. Przeciwnie: zapowiadają długą i żmudną drogę — na miarę możliwści. Być może następna pięciolatka będzie „drogowa", tak jak obecna jest „komunalna"

Na razie każda gmina osobno woła o telefony, drogi, przystanki autobusowe. Niektórych radnych owładnęła bowiem magia planu. Najdobitniej wyraził ją przedstawiciel gminy Trzcianne: „Będziemy w planie, to może i możliwości się znajdą"

JAN ONISZCZUK

BANK NA WSI

Dziś już chyba nikt nie wątpi w to, że rolnik jest przedsiębiorcą prowadzącym rozległe interesy: rozlicza się ze zlewnią mleka, dostawcami węgla i nawozów, skupem zboża i żywca; kupuje drogie maszyny. Nie może więc nosić setek tysięcy czy nawet mi ionów złotych przy sobie, ani trzymać w pończosze; niezbędne jest bankowe konto. Własne oszczędności zwykle nie wystarczą, kiedy trzeba postawić oborę, kupić trochę gruntu lub odebrać przydzielony kombajn. Wtedy pozostaje jedno wyjście: kredyt.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że finansową obsługę rolnictwa prowadzi Bank Gospodarki Żywnościowej wraz ze związanymi z nim bankami spółdzielczymi. W województwie łomżyńskim, oprócz oddziału BGŻ-u, pracuje 36 BS-ów i 7 rejonowych punktów kasowych. Doskonale w nich widać to wszystko, co dzieje się w rolnictwie.

Trochę statystyki. W końcu 1986 roku złożonych w nich było 8,6 miliarda złotych oszczędności, z czego 7,5 miliarda to, oczywiście, pieniądze rolników. Na jedną książeczkę przypadało 112 tys. zł, na gospodarstwo — 180 tys., na hektar użytków rolnych — 19,9 tys. W porównaniu z 1983 rokiem oszczędności zwiększyły się o 80 proc. Z pewnością duży w tym udział inflacji i braku towarów na rynku, zwłaszcza maszyn i materiałów budowlanych.

Na konta bankowe najwięcej odkładali mieszkańcy gmin: Szepietowo (444 miliony złotych), Andrzejewo (350 mln), Zambrów (350 mln), Sokoły (320 mln). W przeliczeniu na 1 hektar użytków rolnych: Szepietowo (38 100 zł), Andrzejewo (30 900), Boguty (30 000).

Teraz o zadłużeniu. W całym województwie osiągnęło ono 14 miliardów; 7 mld — to kredyty dla ludności, czyli: rolnictwa indywidualnego, prywatnych przedsiębiorstw, gospodarstw domowych. Przeciętne gospodarstwo zadłużone było na 149 tysięcy zł, a hektar użytków rolnych na 16,5 tys. W klasyfikacji gmin pierwsze miejsce zajmuje Klukowo (29 300 na ha użytków rolnych), Szepietowo (28 300), Wysokie Mazowieckie (27 800).

Bankowcy twierdzą, że duże oszczędności i zadłużenie świadczą o trafności inwestycji i dobrej gospodarce finansowej rolnika. Nikogo nie powinny zatem dziwić wysokie miejsca Szepietowa i gmin południowych: zamożni szybko uczą się robić dobry użytek ze swoich pieniędzy.

Na wiejskich bankach spoczywa jeszcze jeden ważny obowiązek: sprzedaż gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi. Zwykle na jeden hektar czeka kilku rolników; najlepszym wyjściem byłoby ogłaszanie licytacji, a nie — jak dotąd — sprzedawanie po sztywnych cenach, poprzedzone — długą i wywołującą konflikty — eliminacją kandydatów.

Na IV Wojewódzkim Zjeździe Delegatów Spółdzielczości Bankowej spółdzielcy narzekali przede wszystkim na dwie sprawy utrudniające im życie. Po pierwsze: wiele instytucji żąda gotówki, nie respektując, wystawianych przez rolków, czeków. Po drugie: wszystkim dają się we znaki limity. Bank może udzielać kredytu do pewnej, narzuconej z góry, wysokości i ani grosza więcej, choćby jego kasy pękały w szwach. Musi więc często odmawiać nawet najbardziej potrzebującym, narażając ich tym samym na straty.

Banki Spółdzielcze nie obawiają się konkurencji: mają dobrze rozwiniętą sieć placówek, usytuowanych blisko swoich głównych klientów — rolników. Nie zanosi się też, aby stać było kogoś na budowanie nowych konkurencyjnych banków na wsi. Zapowiadane zmiany przynieść mogą natomiast większą samodzielność, a zwłaszcza rozluźnienie sztywnego gorsetu limitów.

(jon)

JUBILEUSZ ROGACZA

Czterdzieści lat istnieje już Koło Myśliwskie „Rogacz" w Ciechanowcu. Jego członkowie znani są z aktywności społecznej: wybudowali strzelnicę sportowo-myśliwską, bażanciarnię z wylęgiem i odchowem piskląt, a także wykonali większość prac przy rekonstrukcji dworku myśliwskiego na terenie skansenu, należącego do Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka. Z okazji jubileuszu zorganizowali w salach ciechanowieckiego muzeum wystawę swoich trofeów myśliwskich, wśród których nie brakuje również nagrodzonch złotymi medalami w różnych konkursach.

Myśliwi z „Rogacza" są także organizatorami i duszą wielu spotkań towarzyskich w mieście. Życzymy im dalszych sukcesów.

(gal)

NA SWOIM

O wygodnym życiu i tajemnicach powodzenia — z Józefem Święckim ze wsi Wdzięków II w gminie Zambrów, jednym z laureatów konkursu „Złota Wiecha" — rozmawia Maria Kaczyńska.

MARIA KACZYŃSKA: — Pański dom, od piwnic aż po strych, jest wspaniały: zaplanowany z myślą o wygodzie i dobrym samopoczuciu lokatorów, świetnie wyposażony. Ile lat Pan nad nim pracował?

JÓZEF ŚWIĘCKI: — Budowę, a właściwie rozbudowę istniejącego wcześniej, parterowego domku rodziców, rozpoczęliśmy w 1981 roku. Właściwie do dziś nie wszystko jeszcze jest zrobione tak, jak należy. Ciągle coś ulepszamy, jeśli pozwalają na to pieniądze i czas.

— Rzadko się jeszcze na wsi spotyka taką troskę o komfort codziennego życia, jaką widać u Pana. Przeciętny rolnik łomżyński to człowiek zaharowany, kłopoczący się jedynie o krowy, świnie, ceny skupu i wydajność z hektara.

— No właśnie. Komisja konkursowa również zwróciła na to uwagę. Podobało im się, że u nas cały budynek służy rodzinie, jest używany na co dzień. Tymczasem wielu rolników posiada okazałe domy z mnóstwem dużych pokoi, ale codzienne życie toczy się w jakiejś kuchni czy komórce w suterenie. Myślę, że jest to kwestia nawyków i potrzeb. Przystępując do budowy, ja i moja żona dokładnie wiedzieliśmy, czego chcemy.

— Jest Pan z wykształcenia mechanikiem; pracował Pan w Stoczni Gdańskiej i Fabryce Samochodów Osobowych. Co zadecydowało, że wrócił Pan do rodzinnej wsi? Jakie umiejętności pomogły Panu w uzyskaniu w dość krótkim czasie dobrych wyników w hodowli trzody chlewnej?

— Wróciłem, bo w mieście nie widziałem dla siebie przyszłości. W Warszawie mieszkaliśmy z żoną kątem u teściów. Na mieszkanie spółdzielcze szybko się nie zanosiło. Praca nie dawała mi satysfakcji. To jest chyba kwestia wychowania; ojciec wpoił w nas przeświadczenie, że tylko solidna robota może dawać zadowolenie. Nie potrafiłem i nie potrafię robić czegokolwiek bez przekonania, byle jak. A w FSO różnie bywało. No i praktycznie żadnej możliwości awansu. Czułem, że tracę oparcie; nie widziałem dla siebie przyszłości. Postanowiliśmy wrócić na gospodarkę. Podobną decyzję podjął mój brat, który skończył technikum rolnicze w Marianowie. Wróciliśmy obaj, z rodzinami. Kupiliśmy po kilka hektarów i wspólnie z ojcem założyliśmy zespół. Na początku było bardzo ciężko, chociażby ze względu na to, że wszyscy mieszkaliśmy w starym domu rodziców. Ale opłaciło się. Po dziesięciu latach mogę powiedzieć, że czuję się pewnie na swoim.

— W tej chwili wasze gospodarstwo jest spółką, a Pan i Pański brat jej współwłaścicielami. Czy jest to dobra forma własności w przypadku gospodarstwa rolnego?

— Nam bardzo odpowiada. Prowadzimy hodowlę trzody chlewnej, a produkcja ta wymaga ciągłego nadzoru, ciągłej obecności. Gdybym był sam, moje życie upłynęłoby mi wśród świń. Na nic innego nie miałbym już ani czasu, ani sił. Pracując we dwóch, możemy sobie pozwolić nawet na urlop, nie mówiąc już o krótszych wyjazdach.

— Czy nie obawia się Pan nieporozumień? Przysłowie mówi, że z rodziną najlepiej wychodzi się na fotografii.

— Czasem sprzeczamy się, ale potem... bierzemy się do pracy. Nieporozumienia nie grożą nam dopóty, dopóki nasz interes przynosi korzyści. Jeśli to się zmieni, pomyślimy o innej produkcji. Kierujemy się zdrowym rozsądkiem, bo tylko taka postawa ma sens. I nie tylko w rolnictwie.

— Dziękuję za rozmowę.

Ludzie i sprawy

z bocznych tras

O świętach Bożego Narodzenia mówi się, że są rodzinne i tradycyjne. Które ze zwyczajów przetrwały, a które są już tylko wspomnieniem?

● **SZUMOWO.** Cecylia Żach, dyrektorka Gminnego Ośrodka Kultury: — O zaniku tradycji świadczy chociażby fakt, że od lat w adwentowe niedziele nie słychać gry na ligawkach. W świąteczne dni młodzież nie wędruje po domach z gwiazdą czy kozą. Właściwie tradycja przetrwała tylko w wigilijnym jadłospisie. Najważniejszą z potraw jest kapusta z grzybami; następnie uszka, czyli małe pierożki z barszczem. Dalej: kluski z makiem i kompot z suszonych owoców; do tego ryba, najczęściej karp — w galarecie albo smażony. Wieczerza wigilijna rozpoczyna się od przełamania się opłatkiem. Podtrzymywany jest też zwyczaj podkładania siana pod obrus. Po kolacji siano z resztkami opłatka gospodarz zanosi do obory: dla krów, owiec i koni.

● **WYSZOMIERZ** (gm. Szumowo). Wiesława Godlewska, kierowniczka świetlicy wiejskiej: — Wigilia to przede wszystkim post; nie wolno jeść nie tylko mięsa, ale nawet mleka czy jaj. U mnie w domu w wigilijny ranek zjadamy zupę pieprzówkę. Przygotowuje się ją jak rosół: na warzywach, ale bez mięsa. Nie wiem, czy w tym roku uda mi się przygotować, zgodnie z tradycją, dwanaście potraw. Na stole znajdą się na pewno: kapusta z grzybami, do tego ziemniaki z olejem, barszcz, kluski z makiem, kompot.

Po wigilii nikt nie kładzie się spać, czekamy na pasterkę. Z pasterki wracamy najczęściej o trzeciej nad ranem. Jeśli w kościele było zimno i zmarzliśmy, kładziemy się do łóżek; jeśli humory dopisują — można zabrać się do jedzenia wędlin. Zawsze sama przygotowuję wędliny: szynkę, polędwicę, roladę z boczku, kiełbasę. Również podroby: kaszankę, salceson.

W pierwszy dzień świąt nie gotuje się obiadu. W gospodarstwie wykonywane są tylko najpilniejsze prace: karmienie, dojenie krów.

● **SIWKI** (gm. Zbójna) Leokadia Poreda, rolniczka: — Przedwojenne wigilie różniły się od dzisiejszych. Nie ma już dziś niektórych potraw, takich jak np. „kręciwujek". Przyrządzało się go z grzybów, gotowanych z marchwią, pietruszką, koperkiem i kubabą, czyli zielem angielskim. Nikt już nie podaje kaszy gryczanej z cebulą i olejem lnianym. Z ryb były przeważnie płotki, jeśli udało się złowić je w rzece. O karpiu nikt nie słyszał. Na wigilijnym stole była kapusta kiszona (również z olejem), na osłodę kluski z makiem. Piekło się też kołacze z mąki gryczanej.

Choinki stroiliśmy, ale nie były one tak bogato zdobione, jak obecnie. Świecidełka były drogie; piekliśmy z ciasta aniołki, kaczki i wieszaliśmy na drzewku. Z wydmuszek i papieru kleiliśmy gołębie. Nie było Mikołaja i prezentów. Pierwszy dzień świąt każdy spędzał w domu; nie wypadało chodzić w odwiedziny, nie wolno było pracować, nawet czesać się. Za to święta trwały cztery dni: pierwszego dnia świętowało się Boże Narodzenie, drugiego — Szczepana, trzeciego — Jana, czwartego — Młodzianków. Tego dnia chłopcy pletli powrozy z suchego zielska (tak zwane warkoczniki) i chwytali w nie dziewczęta. Po wsiach chodzili trzej królowie ze swoją świtą. W Sylwestra nie było żadnych zabaw. O północy szło się do kościoła. Dopiero w Nowy Rok można było pić alkohol, przeważnie piwo. Wódka była za droga, kosztowała cztery złote. Za piętnastolitrową beczkę piwa drozdowskiego płaciło się tylko półtora złotego.

Nie ma już takich wigilii ani świąt. Ludzie mówią, że szkoda im czasu na przygotowania, ale przecież marnują go przed telewizorami.

(W.K.)

CZY ZNASZ WOJEWÓDZTWO ŁOMŻYŃSKIE?

Konkurs

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

1. Powierzchnia województwa łomżyńskiego wynosi 6684 km kw. Aż tyle czy tylko tyle? Które z podanych województw jest mniejsze od łomżyńskiego:

a) warszawskie,
b) zamojskie,
c) radomskie?

2. Łomżyńskie jest województwem typowo rolniczym (udział w produkcji przemysłowej kraju wynosi 0,3 proc.), mimo to wytwarzamy unikalny w Polsce produkt antyimportowy. Czy jest to:

a) specjalny rodzaj betonu,
b) glukoza krystaliczna,
c) meble typu „Darzbór"?

3. W województwie znajduje się 12 miast. A ile gmin?

a) 31,
b) 40,
c) 46.

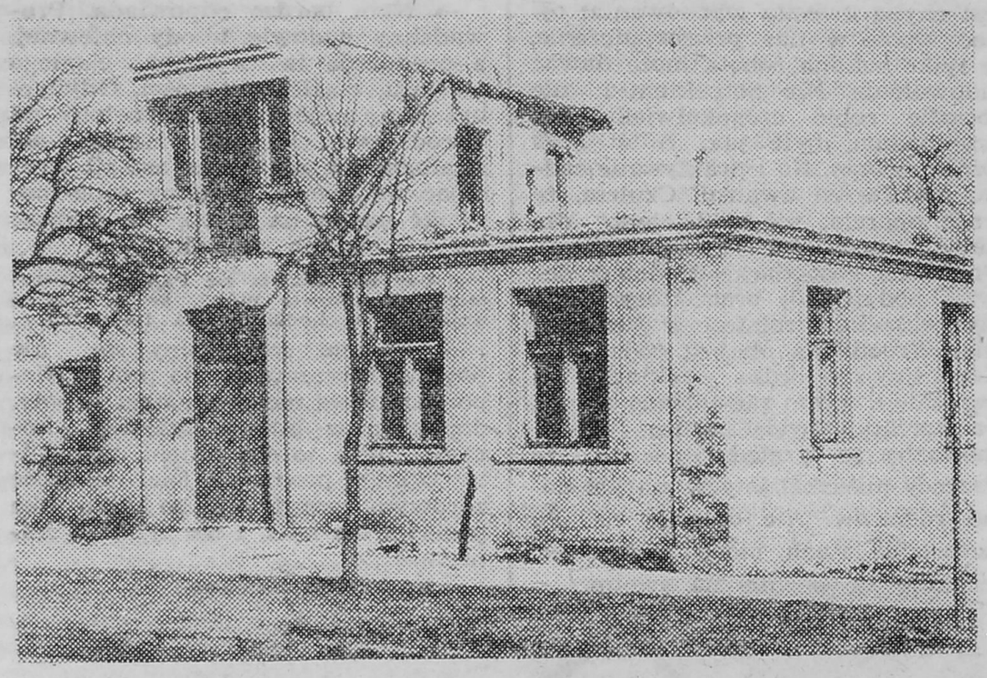

4. W 1987 roku w Łomży, podczas remontu jednego ze starych budynków, dokonano sensacyjnego odkrycia. W skrytce znaleziono:
a) dokumenty z czasów wojen szwedzkich,
b) listę carskich agentów z Łomży, Kolna i Zambrowa,
c) zapiski Adama Chętnika.

5. Czerwone Bagno jest z pewnych względów unikalnym rezerwatem w Europie. Znajduje się tam jedyna w Polsce naturalna ostoja:

a) wydry,
b) łosia,
c) czapli siwej.

6. Województwo łomżyńskie to największe w kraju zagłębie:

a) zbożowe,
b) buraczane,
c) ziemniaczane.

7. Które z miast województwa posiada największą powierzchnię:

a) Łomża,
b) Rajgród,
c) czy Zambrów?

8. W Polsce na 10 000 mieszkańców przypada 19 lekarzy (w Związku Radzieckim — 42, a w Chinach — 6). Ilu w Łomżyńskiem?

a) 4,
b) 21,
c) 12.

9. Łomża posiada niezłą komunikację miejską, tak państwową, jak prywatną. Ile jest tutaj taksówek?

a) 168,
b) 205,
c) 305.

10. Po morzach i oceanach pływają dwa statki (nie licząc m/s „Kurpie"), związane z Ziemią Łomżyńską. Jeden to m/s „Łomża", a drugi to:

a) m/s „Szczuczyn",
b) m/s „Zambrów",
c) czy m/s „Nowogród"?

11. Pod względem warunków glebowych zajmujemy w kraju 46 miejsce. Które pod względem produkcji rolniczej?

a) 19,
b) 35,
c) 48.

12. W przyszłym roku Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej będzie obchodzić rocznicę swego powstania. Którą?

a) 25,
b) 30,
c) 40.

13. Z Łomżyńskiego pochodzi wielu sławnych Polaków. Zestaw poprawnie nazwiska i miejscowości

a) Zygmunt Gloger
b) Adam Chętnik
c) Lutosławscy
A) Drozdowo
B) Tybory Kamianka
C) Nowogród

14. „Gdyby istniał tylko 8-godzinny dzień pracy, byłby prawdziwą niedolą z powodu swej krótkości." Kto jest autorem tego powiedzenia:

a) Zygmunt Gloger,
b) Antoni Waga,
c) Adam Chętnik?

15. Który z Wagów napisał „Florę polską":

a) Teodor,
b) Antoni,
c) czy Jakub?

16. Gdzie znajduje się nastarsza szkoła rolnicza w województwie:

a) w Marianowie,
b) Krzyżewie,
c) czy Wojewodzinie?

17. W województwie znajduje się wiele pomników przyrody. Jednym z nich jest, najstarszy na tym terenie, kilkusetletni dąb „Dewajtis". Gdzie on rośnie:

a) w pobliżu drogi zambrowskiej,
b) w łomżyńskim parku,
c) czy w Lesie Jednaczewskim?

18. W dawnej Łomży wiele ulic i placów nosiło inne nazwy. I tak ul. 22 Lipca to dawna Dworna, plac Żeglickiego — Stary Rynek. Przy dawnym trakcie kowieńskim (zwanym też petersburskim) mieścił się zajazd „Pod Złotym Koniem". Jaki obiekt znajduje się na jego miejscu obecnie:

a) kino „Millenium",
b) zajazd „Załom",
c) restauracja „Mazowiecka"?

19. Jednym z obecnych posłów Ziemi Łomżyńskiej jest prof. dr hab. Kazimierz Secomski. Dawniej wśród posłów reprezentujących ten region był i późniejszy król polski. Który:

a) Jan III Sobieski,
b) Stanisław Leszczyński,
c) czy Stanisław August Poniatowski?

20. Legenda głosi, że gdy Szwedzi przeprawiali się przez most na Pisie, Kozioł — właściciel młyna — zabił dowódcę ich oddziału. Szwedzi w odwecie spalili młyn. Dla Kurpiów stało się to hasłem do walki z najeźdźcą. Podaj nazwę wsi, gdzie się to wydarzyło,

a) Ptaki,
b) Kozioł,
c) Leman.

21. Gdzie znajduje się pierwsze w Polsce (a może i w Europie) Muzeum Weterynarii:

a) w Łomży,
b) Ciechanowcu,
c) czy Zarębach Kościelnych?

22. Kto jest autorem tego wiersza:
„Matulu moja, czy to być może,
Że tatul wszystko ma sprzedać pono
I chce wyjechać gdzieś za morze?
Czyżby porzucił ziemię rodzoną?"

a) Władysław Mackiewicz,
b) Feliks Bernatowicz,
c) czy tekściarz ze współczesnego kabaretu?

23. Co kryje w sobie Góra Królowej Bony?

a) nasyp morenowy,
b) dotąd nie zbadano,
c) grodzisko.

24. W kraju na 1000 mieszkańców 109 posiada telefony. W Szwecji — 890, w Czechosłowacji — 226 osób. Ile telefonów na 1000 mieszkańców przypada w Łomżyńskiem?

a) 44,
b) 78,
c) 102.

25. Ile pociągów osobowych w ciągu doby odprawia zawiadowca stacji w Łomży:

a) pięć,
b) dwanaście,
c) czy dwadzieścia jeden?

26. W którym roku książę mazowiecki Janusz I nadał Łomży prawa miejskie?

a) 1318,
b) 1418,
c) 1460.

27. O kim mówi Władysław Mackiewicz w swoim wierszu:
„Nocy dziwna! Czy to czary,
Czy złudzenie wzrok osłania?
Gdzie wyrasta dąb prastary,
Jakaś postać się wyłania.
Straszna postać! Głową sięga,
Ponad wszystkie drzewa w lesie,
A na szyi sina pręga,
W ręku hełm żelazny niesie."
Dla ułatwienia podajemy, że „straszna postać" ukazywała się w Jednaczewie. Czy był to:

a) miejscowy wójt, zabity przez Szwedów,
b) Stach Konwa,
c) legendarny zdrajca?

28. Zestaw poprawnie imię i miejsce pochodzenia znanych Polaków z Łomżyńskiego:

a) Paweł z..
b) Piotr z...
c) Jan z...
A) Goniądz.
B) Kolno,
C) Wizna,

29. „Jan (Polak) — okazaniem bryły złota stwierdza bytność za Atlantykiem, zanim Kolumb tam zawinął, o czym świadczą archiwa sztokholmskie." Postać tego żeglarza występuje w dziełach:

a) Jana Matejki,
b) Stefana Żeromskiego,
c) Bronisława Ferdynanda Trentowskiego?

30. Na fotografii (poniżej) Szkoła Muzyczna w Łomży. Co mieściło się w tym budynku podczas wojny:

a) szpital,
b) biuro meldunkowe,

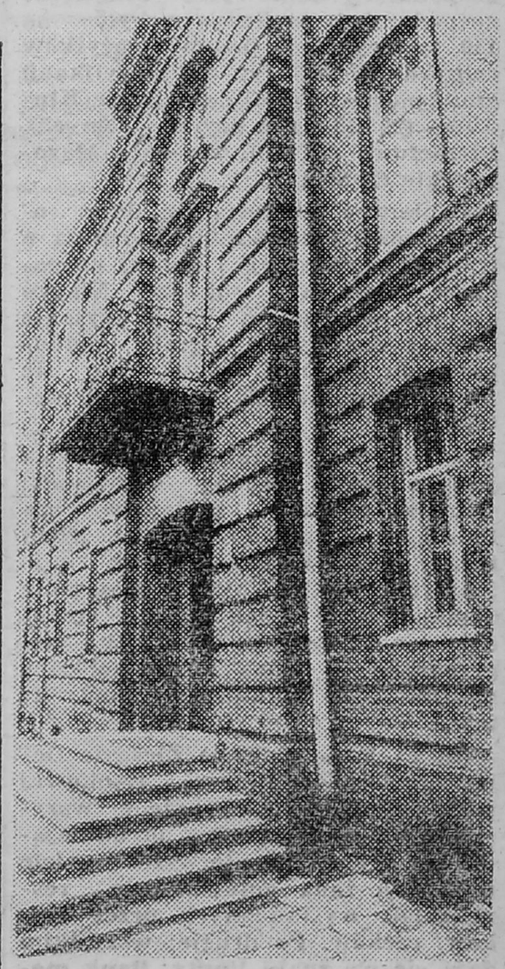

c) czy administracja więzienna gestapo?

31. Łomżyńskie przed wojną w 50 proc. zamieszkiwali Żydzi. Znane są miejsca masowych egzekucji: Wąsosz, Radziłów, Jedwabne, Kolno i wiele innych. Gdzie utworzono pierwsze getto:

a) w Szczuczynie,
b) Czyżewie,
c) czy Łomży?

32. Podaj datę wyzwolenia Łomży.

a) 22 czerwca 1944,
b) 13 września 1944,
c) 2 stycznia 1945.

wieści grodzkie

AB URBE CONDITA (6)

PRACOWITY WIEK XIX

Po powstaniu kościuszkowskim Łomża weszła w skład regencji białostockiej „Neue Ost Preussen", a od roku 1818 została miastem powiatowym województwa suwalskiego w Królestwie Polskim.

Zaczyna się okres powolnego dźwigania z upadku. Pojawili się nowi kupcy, rzemieślnicy, a także Żydzi, którym w roku 1822, na mocy postanowienia księcia namiestnika, pozwolono osiedlać się w miastach. Żydzi ożywili upadły zupełnie handel i wybudowali wiele domów. Wnieśli również — początkowo drewnianą — bożnicę, a w 1841 r. — murowaną, według projektu H. Marconiego. Stanęła ona w kwartale między ulicami: Senatorską, Szkolną i Dworną.

W początkach XIX wieku powstały zalążki przemysłu lniarskiego i bawełnianego. W latach 1823—24 sprowadzono folusz i wybudowano 6 domów dla tkaczy (osiemnastu sukienników i jednego postrzygacza), sprowadzonych z Wielkopolski i Pomorza Zachodniego; usytuowano je przy ul. Rybaki. Wybuch powstania listopadowego zahamował rozwój tego przedsięwzięcia.

Ponowne ożywienie, zarówno handlu, jak i działalności budowlanej, ma miejsce w latach czterdziestych, po ukończeniu budowy Kanału Augustowskiego. Przez cały wiek XIX Łomża była terenem poważnych prac urbanistyczno-budowlanych, opierających się w znacznej mierze na planie regulacji miasta, sporządzonym w 1823 r. Powstało wiele gmachów użyteczności publicznej, które usytuowano wokół Nowego Rynku (obecnie plac Kościuszki) i nowo utworzonego placu, przylegającego do Nowego Rynku po przekątnej. Przy Nowym Rynku wybudowano w 1821 r. gmach Trybunału Cywilnego, przy nowym placu, zwanym Poprawczym, później Pocztowym, w 1820 r. wzniesiono budynek więzienia, a w latach 1842—1843 — zespół zabudowań poczty według projektu architekta Bogumiła Zuga. We wschodniej pierzei Starego Rynku w 1826 r. powstał ratusz, który zastąpił średniowieczny budynek magistratu, stojący pośrodku rynku.

W latach czterdziestych XIX w. układ przestrzenny miasta, mający dotychczas kształt wydłużonego prostokąta (z najważniejszymi arteriami komunikacyjnymi przebiegającymi ze wschodu na zachód, równolegle do rzeki), został zakłócony wprowadzeniem nowej linii komunikacyjnej: Petersburg—Warszawa, o przebiegu północ-południe (tzw. Nowy Trakt Petersburski). Na Placu Porożańcowym (w trójkącie pomiędzy ulicami Nowogrodzką i Traktem Petersburskim) założono w 1842 r. ogród spacerowy. W tym samym czasie u zbiegu nowo założonych ulic: Pięknej i Wiejskiej, postawiono budynek szpitalny. Uporządkowano i wybrukowano Plac Pocztowy oraz Nowy Rynek. (W.L.)

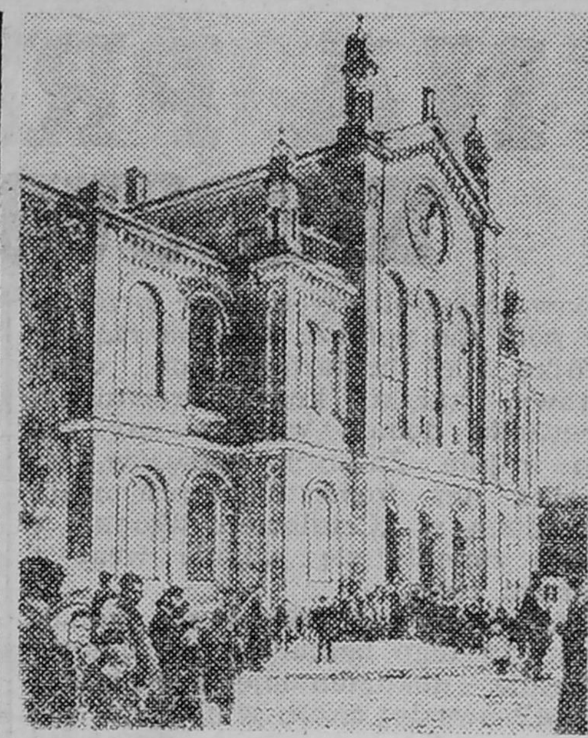

Łomża. Synagoga zbudowana według projektu H. Marconiego w roku 1841; usytuowana była u zbiegu dzisiejszych ulic Giełczyńskiej i Senatorskiej. Zniszczona w 1939 r.

Reprod. BOLESŁAW DEPTUŁA

WIATR W KOŁA

Jakby na przekór wszystkiemu, w tym także CPN-owskim „upoważnieniom", Automobilklub Łomżyński złapał wiatr w... koła! Dziesięć lat to w sam raz wystarczający okres, by okrzepnąć, a niejako przy okazji — rozwinąć działalność na tyle, żeby zmotoryzowanym pomagać w ich codziennych kłopotach, kształcić nowych zdobywców szos, troszczyć się o bezpieczne korzystanie z nich przez wszystkich mieszkańców regionu, w tym także tych, którzy jeszcze zbierają złotówki na upragnione cztery kółka. Nie zmarnował okazji, by zaznaczyć też swoją obecność na trasach krajowych, wygrywając wiele ogólnopolskich współzawodnictw.

O tym, co za nimi, ale także o planach na drugie dziesięciolecie, mówili weterani klubu i jego „juniorzy" podczas okolicznościowego spotkania. Rozmowa, w której nie brakowało też ciepłych słów ze strony władz, była okazją do uhonorowania szczególnie ofiarnych automobilistów odznaczeniami i nagrodami. Dziesięcioletnie wspominki ułatwiała okolicznościowa wystawa, na której zaprezentowano trofea zdobyte przez Automobilkub Łomżyński podczas minionych 120 miesięcy pracy.

— Czasy nie sprzyjają społecznej działalności — powiedział wiceprezes AŁ, Ireneusz Przeździecki. — My jednak przebrnęliśmy przez najtrudniejszy okres i przekonaliśmy się, że wielu ludzi związało się z klubem na dobre i złe. Henryk Tomaszewski, Anna i Gerard Szatkowscy, Teofil Grodzki, Jerzy Janicki, Kazimierz Grzybowiński i wielu innych spośród ponad ośmiuset naszych członków, to prawdziwe drożdże klubu.

Tekst i fot. GABORA LÖRINCZEGO

Ze wspomnień Bohdana Winiarskiego („Nad Pisą, Wissą i Narwią" 1965 r.): „Zimą powodem nieustannej wojny z władzami szkolnymi była ślizgawka. Władze wyznaczały miejsce, gdzie wolno było chodzić: była to ślizgawka, z której korzystali Rosjanie. Prawem wody i oliwy Polacy chodzili gdzie indziej; brać uczniowska naturalnie wolała być ze swoimi. Można to było robić pod warunkiem nieustannej czujności [...].

Przez jakiś czas polskie towarzystwo chodziło do ogrodu plebańskiego przy Farze. Stawek był mały i czasami z powodu tłoku można było jedynie posuwać się wolno, niby na deptaku. Kto chciał użyć ślizgawki naprawdę, chodził na łąki nadrzeczne, ale komu chodziło o towarzystwo, zwłaszcza płci pięknej, musiał kręcić się w kółko na księżym stawku [...].

Dzieje kłopotów sercowych [...] związane były w znacznej części z ulubioną ślizgawką u dra Szyszki. I w mojej pamięci, gdy myślą zabiegam do ostatnich klas gimnazjum, powstają zarumienione od mrozu i ruchu twarzyczki, oczy wymowne, usta powściągliwe, nieledwie czuję idące przez rękawiczki ciepło ściskanych w holendrze rączek, widzę kolegów zajętych wesołymi lub poważnymi rozmowami, niektórych pogrążonych po uszy [...]".

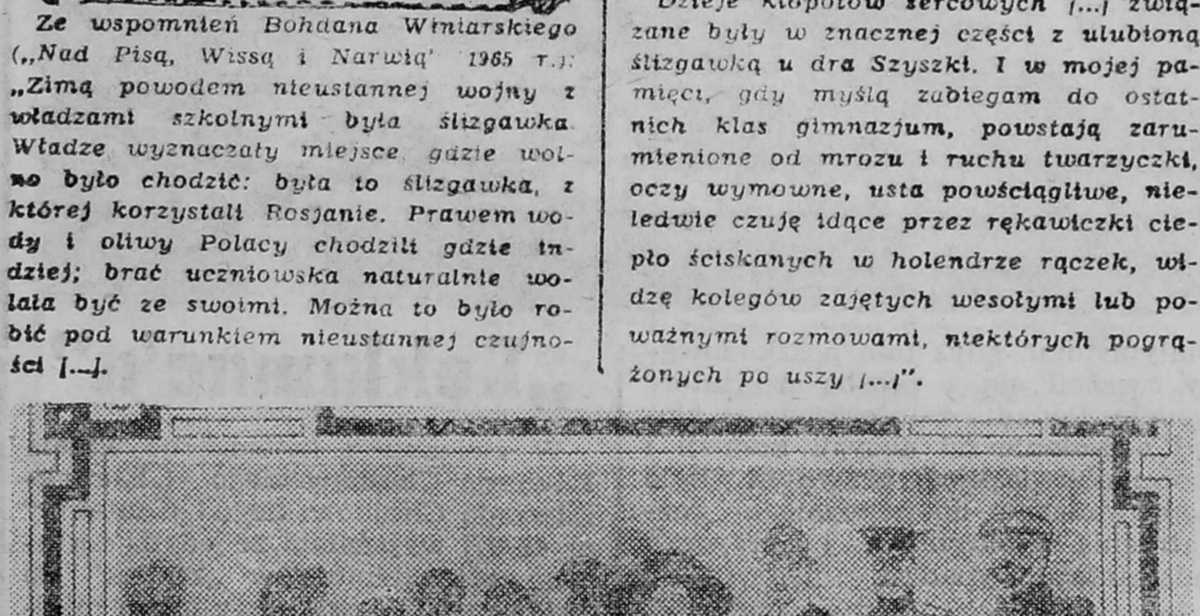

Pamiątka po aptekarzu łomżyńskim — J. Grabowskim: grupa nieznanych osób na ślizgawce (XIX/XX w.). Fotografia 8,9 x 11,8 cm na ozdobnej tekturce. Zbiory Muzeum Okręgowego w Łomży.

Reprod. Bolesław Deptuła

SŁODKIE ŻYCIE

rachunek prawdopodobieństwa

Lubię sport. Codziennie rano „zaliczam" bieg po zdrowie: budzę się skoro świt, a nawet wcześniej, naciągam ubranie i biegnę do „mojego" sklepu przy ul. Księcia Janusza; tam chwytam koszyk, potem dziesięć bułek i cztery litry mleka. Płacę i biegiem do domu, bo moje dzieci po przebudzeniu lubią bawić się prądem. Zapalam światło i segreguję zakupiony towar: dwa litry mleka stawiam pod kaloryfer, trzy bułki moczę w wodzie, a dwie układam na ciepłych żeberkach. Najbliższy obiad i kolację mam z głowy: dzięki specyficznemu systemowi dostaw towarów do sklepu, ciągle jadamy kotlety mielone i kwaśne mleko z ziemniakami.

Oto mój przepis na typowy posiłek: do obskubanego z kości wołowego mięsa dodaję trzy rozmoczone bułki, dwie wysuszone trę i posypuję nimi kotlety; wieczorem gotuję ziemniaki, wyciągam spod kaloryfera zsiadłe mleko i podczas oglądania „Karetki pogotowia" wysłuchuję narzekań rodziny, że znowu jest do jedzenia to samo, co przedwczoraj...

A co ma być i jakie ja mam wyjście? Czy to moja wina, że w naszym sklepie świeże bułeczki wrzucają do czerstwych, które pozostały z poprzedniego dnia? Rano w pośpiechu biorę je z pojemnika jak leci, bez przebierania, czyli macania każdej przez strzęp gazety. Na luksus macania nie mogę sobie pozwolić — brakuje mi czasu. Chleb leżący na półce już łatwiej przebrać, bo jest większy, choć często przy próbie wyciągania upatrzonego bochenka wali się cała piramida. Ale czego się człowiek nie nauczy, zwłaszcza jeśli robi to codziennie! Z mlekiem podobnie: pojemniki z poprzedniego dnia ustawione są najbliżej lady, świeża dostawa schowana pod spodem. Od opisywania słodkiego życia osłabł mi wzrok — mam trudności z odczytaniem daty na kapslu. „Wczorajsze" nie zawsze da się przegotować. Praktyczny na to sposób jest tylko jeden: zamiast dwóch, kupuję cztery butelki; w domu, po odczytaniu daty, wczorajsze odstawiam na zsiadłe.

Dzięki znajomości zasad rachunku prawdopodobieństwa, zawsze trafiam na coś świeżego. Muszę tylko kupować dwa razy więcej niż mi trzeba. No cóż, może to i dobrze? W końcu od mielonych i kwaśnego mleka nikt jeszcze nie umarł.

„OSA"

CHRZĄSZCZ BRZMI W... SZWAJCARII

O Szwajcarii ze sceny i ulicy, idolu bez gitary i nieśmiałych marzeniach — z Agnieszką Kapelańczyk z VIII b łomżyńskiej „jedynki", odtwórczynią głównych ról w operach dziecięcych „Gucio i złota gęś" oraz „Trzy złote włosy diabła" — rozmawia Gabriela Szczęsna.

GABRIELA SZCZĘSNA: — Opowiedz, jak było?

AGNIESZKA KAPELAŃCZYK: — Wspaniale! Jeszcze wszystko mam przed oczami: teatr „pod piramidami" w Bazylei i gimnazjum w Laufen. Nie zapomnę nigdy serdeczności wokół nas, sympatii dla Polski i Polaków okazywanej na każdym kroku.

— Graliście „Trzy złote włosy diabła" po raz kolejny. Czy widzisz różnicę w reakcji publiczności w kraju i tam, w Szwajcarii?

— O tak! Opera przygotowana była w obcym dla nas języku, dla nieznanej widowni, a jednak doskonale się rozumieliśmy. Przykład: na przedstawieniach w Polsce, tam, gdzie akcja jest śmieszna, zwykle zapada cisza; w Szwajcarii wybuchał śmiech. W ogóle publiczność reagowała bardzo żywo. Dla nas był to najlepszy dowód, że potrafimy! Zresztą, Alex Eckert uprzedzał widzów o naszych ewentualnych potknięciach i nawet zaproponował im powtórzenie „chrząszcz brzmi w trzcinie". Był z nami ciałem i duchem, podpowiadał tak, że nikt tego nie zauważył. Co tu dużo mówić: jest dla nas idolem, choć bez gitary i rockowego repertuaru, i to chyba wystarczy za wszystkie słowa i uczucia, jakie dla niego mamy.

— Czasu dla siebie mieliście niewiele, czy coś zwróciło jednak twoją uwagę?

— Piękno krajobrazu (jeszcze jestem pod wrażeniem wschodu słońca), w miastach — mnóstwo zieleni i przede wszystkim czystość (poczułam ukłucie zazrości). Ale i tak nagle przyszła tęsknota: za Polską. Łomżą i domem. Zaczęło się liczenie dni do powrotu.

— Czy opinie o Zachodzie pokrywają się z tym, co zobaczyłaś na własne oczy?

— Niezupełnie. Część z nas mieszkała w prywatnych domach. Mieszkania są skromnie urządzone, a gospodarze prowadzą bardzo oszczędny tryb życia. Sklepów mnóstwo i mnóstwo towarów, ale kolejek nie ma. Nie wszyscy jeżdżą swoimi samochodami. Jak wszędzie.

— Masz zdolności aktorskie i wokalne. Jesteś w ósmej klasie. Co dalej?

— Już tam, w Bazylei, po zejściu ze sceny rozpłakałam się, bo wiem, że to ostatni raz. Marzy mi się zawód artystyczny, ale spokojnie muszę rozważyć swoje szanse.

— Co Ci dała praca w zespole pod kierunkiem Alexa Eckerta?

— Przekonanie, że człowieka najlepiej poznaje się przy wspólnej pracy: że na sukces jednego musi pracować wielu.

WARTOŚCI MOJEGO ŻYCIA

NA PRZEKÓR NIEDOWIARKOM

W Zaruziu czas stał wystarczająco długo. Tak długo, że młodsi zaruzianie już nie pamiętają, kiedy był tu sklep. Nie ma też klubu rolnika, choćby skrawka boiska, a remiza strażacka przypomina drewnianą szopę.

Ale młodzi mają tam dużo zapału, do tego są uparci i może właśnie dlatego rok temu, w pewien zimowy dzień, powstało w Zaruziu koło ZSMP, któremu przewodniczy Kazimierz Bernatowicz.

— Dłużej nie sposób już było czekać. „W końcu to nasza wieś, nasza sprawa" powiedziałem i przyszli — wspomina. — Dziś jest nas trzydzieści jeden osób, choć w prawie stu gospodarstwach drugie tyle by się znalazło.

O sobie właściwie ma niewiele do powiedzenia. Dwadzieścia dziewięć lat, z których połowę spędził w najróżniejszych szpitalach, sanatoriach, w Konstancinie. Gdy miał piętnaście lat, lekarze stwierdzili u niego gościec przewlekły postępujący. Ósmą klasę skończył w warszawskim Instytucie Reumatologii. Marzył o trzyletniej szkole dla niepełnosprawnych, która znajduje się w Krakowie. Daleko, lecz zawód masażysty wydawał mu się jedyną szansą na lepsze życie. Nie wyszło. Dzisiaj z Urzędu Gminy otrzymuje miesięczny zasiłek — 6150 złotych.

— Wtedy, po szpitalu, powiedziałem sobie: jakoś to będzie, co ja mówię: musi być! I wróciłem do domu. Postanowiłem pokonać własną słabość. Nie, żeby się oszukiwać i wmawiać sobie, że jestem właściwie taki jak inni. Chodziło mi o życie w miejscu, którego już nie zmienię, ale mogę je zmienić wokół siebie, z pożytkiem dla innych. W każdym czasie jest coś do zrobienia i dla każdego wystarczy roboty. Trzeba po prostu tylko chcieć i nie myśleć o tym, co dolega, co boli, bo to dla innych niewidoczne.

Matka Kazimierza porównuje go ze starszym synem Ryszardem, dojeżdżającym jak wielu zaruzian do „Celulozy" w Wojciechowicach. Bracia, a zupełnie inne charaktery. Tamten spokojny, a młodszy od małego nie mógł usiedzieć na miejscu. To i nic dziwnego, że się w nim pod tym względem nic nie zmieniło. Czasem tylko zastanawia się, skąd w nim tyle siły, bo nadziei tak mało...

Życie Kazimierza przeczy jednak obawom najbliższych, choć przecież w polu nie pomoże. Gospodarzą we trójkę. Pięć hektarów, koń, dwie krowy, kaczki, kury. Drewniany, niewielki domek wybudowany tuż po wojnie. Żadnych luksusów, bo matka też rencistka, pracowała przedtem w „Celulozie". Widok z okna zmienia się jedynie wraz z porami roku.

Kazimierz nie poddał się jednak nostalgii tego bezruchu, porządkuje właśnie dokumentację z ostatniej ZSMP-owskiej akcji, wypatruje kolegi, bo właśnie coś mają do obgadania, zastanawia się nad kolejną. Dzisiaj to o wiele łatwiej przychodzi, gdy człowiek wyrobił sobie „układy": na cement, cegłę, wszystko jedno na co; ma już doświadczenie w pracy społecznej. Czasem goryczy więcej niż radości, ale on rozumie, że wszystko rodzi się w bólu, żeby później dać satysfakcję, choćby nawet przyszło iść po tych przysłowiowych kolcach bardzo długo. Człowiek, on, ma już taką naturę. Przecież nie usiądzie, nie położy się do łóżka i nie będzie odliczał wraz z zegarem długich godzin. Wtedy już byłoby pewne, że z łóżka mógłby wstać, a właściwie przesiąść się tylko na wózek inwalidzki. Takie myśli często przychodzą mu do głowy. Wie, że to go czeka, ale jeszcze nie teraz.

— Mam na to czas — śmieje się — Zanim zacznę jeździć, muszę pochodzić — spogląda na kule.

Przedwczoraj mieli zebranie, podsumowali pierwszy rok swej działalności. Kazimierz, przeglądając skrupulatnie notatki, przypomina wszystkie perypetie społecznikowania.

Zaczęli od Sylwestra. Bal był do czwartej rano, strzelał szampan, a dziesięć par wspomina Nowy Rok do dzisiaj. Zima, wiadomo, śnieg do lepienia bałwana, uciecha dla najmłodszych, ale jak sypnie, to czasem i świata nie widać. I tak Zaruzie zostało prawie odcięte od szosy. Nie było na co czekać. Wzięli się do odśnieżania.

— To przykre — mówi Kazimierz — że niektórzy zdobyli się tylko na uwagi: „Weźcie tu u mnie trochę, żebym mógł samochód wyprowadzić", albo: „Do mojej furtki choć trochę przekopcie". Zrobiliśmy jednak, co do nas należało. W gminie wyliczyli potem, że nasza praca warta jest dwadzieścia osiem tysięcy.

Potem była droga. Dzisiaj tak wygodnie się jedzie, ale wcześniej.. Tym razem poszło lepiej: dołączyli starsi gospodarze, pomógł naczelnik gminy. Choć też byli, niestety, i tacy, którzy — jakkolwiek mają własne ciągniki — odmówili udziału w naprawie drogi. Trudno. Obcy nie będą przecież dociekać, kto wyszedł do roboty, a kto nie. Ważne — zdaniem Kazimierza — jest to, jaka opinia pójdzie o Zaruziu w świat. W czerwcu i lipcu kilka razy zorganizowali sobie wycieczkę rowerową do skansenu w Nowogrodzie, do lipca były też dyskoteki. Zarobione pieniądze przekazali na konto Centrum Zdrowia Matki Polki oraz ośrodka dla dzieci niewidomych w Laskach pod Warszawą. Właśnie kilka dni temu otrzymali od nich opłatek i życzenia świąteczne: „Radości życzą dziękując za dobroć niewidome dzieci i pracownicy Lasek". Wzruszyli się tym nawet chłopcy. Czy nie było warto?

Potem nadeszły mokre żniwa. „Każdy kłos na wagę złota" zbierany był przez wszystkich: i tych, co mieli go dużo, i tych, co nie mieli wcale.

No i teraz przystanek. Był kiedyś, ale przeszkadzał chuliganom. Ukręcili nawet tabliczkę z symbolem PKS-u, nie mówiąc o rozkładzie jazdy, ławkach. Zdarzało się, że kierowca w ogóle się nie zatrzymywał, bo i przy czym? Po dopełnieniu wszelkich formalności Kazimierz wraz z kolegą wyruszyli motorem za Ostrołękę, do Kruków, po 800 sztuk cegieł; przez miesiąc „załatwiali" cement. Bezpłatnie otrzymali z gminy dokumentację. Betoniarkę pożyczył Jan Kamionowski, do prądu pozwolił się „podłączyć" Jan Brzostek, majster Zygmunt Chojnowski „wyprowadził" przystanek. Brat Kazimierza wziął trzy dni urlopu, tak jak inni koledzy. Poszło naprawdę szybko, choć ludzie ciągle nie wierzyli i dopytywali się „kiedy i kiedy". Przystanek stoi, choć jeszcze bez dachu. Obok leży rozwalona skrzynia po wapnie, którą ktoś w nocy wyciągnął na środek szosy. Obyło się bez groźnego wypadku, ale za skrzynię Kazimierz musi zapłacić gospodarzowi, od którego ją pożyczył; oczywiście z własnej kieszeni.

Wartość czynów społecznych w mijającym roku wynosi około 700 tysięcy złotych. Kazimierz jest zadowolony, bo to dobry początek. Plany ZSMP-owcy z Zaruzia mają równie ambitne.

— Chcemy ufundować książeczkę mieszkaniową wychowankowi łomżyńskiego domu dziecka. To wydaje się najbardziej realne — dodaje Kazimierz. — Ciągle mam uczucie, że to, co robimy, odbierane jest przez większość mieszkańców jako nasz obowiązek. Oczywiście, nie mamy zamiaru nikomu tego wymawiać, ale nie wszystko jesteśmy w stanie „przeskoczyć".

Choćby sprawa boiska czy sklepu, co wiąże się z wywłaszczeniem. Wniosek organizacji młodzieżowej tu nie wystarczy, mogłaby pomóc rada sołecka, ale jeśli na zebrania wiejskie przychodzą zwykle tylko cztery osoby: sołtys i Kazimierz z dwoma kolegami z koła, to trudno z tego wybrnąć.

— Każdy idzie na łatwiznę — denerwuje się — w myśl zasady: „Będzie — dobrze, nie będzie — drugie dobrze". Szukasz kogoś do pomocy we wspólnej sprawie, to sto wykrętów znajdzie, żeby nie przyjść. Za to prośby w rodzaju: „Może byś mi załatwił kręgi na przepust, bo u mnie w ogródku woda stoi", wcale nie należą do rzadkości. Czasem wydaje mi się, że przylgnęła do nas etykietka załatwiaczy.

W Zaruziu wielu żyje jeszcze za własnym płotem. Zamknąć drzwi i odciąć się od świata jest najwygodniej. Docierają do Kazimierza różne komentarze pod jego adresem: że się wygłupia, że zawraca głowę itp. Najczęściej mówią tak ci, którzy, choć zapraszani na zebrania koła, nigdy na nie nie przychodzą. Bywa, że i jego choroba staje się argumentem: „Nie przyjdę do tego «połamańca»".

Kazimierz o tym wie. Wie jednak również, że zawsze może liczyć na swoich z koła, na kilku starszych mieszkańców Zaruzia. Gdyby nie oni, żyłby chyba tak zwyczajnie: z dnia na dzień, tylko czy miałoby to wówczas sens?

— Żyję tym — twierdzi Kazimierz — że jestem komuś potrzebny. — I dlatego się śpieszy, choć tak bardzo wierzy w siebie.

GABRIELA SZCZĘSNA

postawy

CO PO KRYTYCE?

znaki opłaty sądowej

W związku z notatką („Spięcia", „Kontakty" nr 41/87) w sprawie sprzedaży znaków opłaty sądowej uprzejmie wyjaśniam, że przeprowadziłem rozmowę z kasjerką, główną księgową oraz pracownikami pionu rachunkowości. Wszyscy stwierdzili, że taka sytuacja, jaką opisano w notatce, nie miała miejsca.

Żadnego zapotrzebowania na znaki opłaty sądowej, opatrzonego pieczątkami firmy, kasjerka nigdy nie żądała i nie żąda, gdyż nie zachodzi taka potrzeba. Znaki opłaty sądowej są sprzedawane w każdej ilości, jeżeli tylko są w danej chwili w kasie. Mogła zdarzyć się taka sytuacja, że klient zgłosił się po godzinie 13.00 (kasy czynne są do godz. 13.00) i chciał zakupić znaki za kilkanaście tysięcy złotych. Wówczas poinformowano go, że należy zgłosić się następnego dnia, bowiem w tym momencie mogło nie być większej ilości znaków w kasie.

BOGUSŁAW MAZUR
prezes Sądu Rejonowego
w Łomży

Od redakcji: dysponujemy świadkami, którzy pisemnie potwierdzają prawdziwość opisanej w „Spięciach" sytuacji.

naga prawda

Autorowi informacji zamieszczonej w tygodniku („Spięcia", „Kontakty" nr 44/87) oraz wszystkim zainteresowanym czytelnikom wyjaśniam, iż istotnie w czerwcu bieżącego roku ponownie powałałem komisję powypadkową do rozpatrzenia wypadku z zawałem serca. W jej skład wchodził społeczny inspektor pracy, specjalista do spraw pracowniczych i radca prawny.

Komisję powołałem na zlecenie Okręgowego Inspektora Pracy w Białymstoku, gdyż tam poszkodowany zwrócił się z prośbą o interwencję. Ponadto zainteresowany złożył odwołanie od decyzji komisji i moim obowiązkiem prawnym było doprowadzenie do ponownego rozpatrzenia okoliczności i przyczyn zaistniałego wypadku.

Wezwanie lekarza dopiero po przybyciu do domu nie wyklucza związku przyczynowego zawału z wykonywaną pracą. W myśl przedłożonych dokumentów pierwsze objawy zawału wystąpiły po załadunku towarów do samochodu, a było ich w sumie około 400 kilogramów. Fakt późnego zgłoszenia wypadku nie wyklucza jego istnienia. Poszkodowany zgłosił wypadek po powrocie z długotrwałego zwolnienia lekarskiego i po skompletowaniu niezbędnych dokumentów.

No cóż, nagości krępujemy się wszyscy.

Mgr inż. ANDRZEJ ŻUREK
dyrektor ZDMiUZ „Biebrza"
w Grajewie

„Reklamacja"

W związku z listem obywatela Edwarda Chojnowskiego („Kontak-
Edwarda Chojnowskiego („Kontakty" nr 46/87) wyjaśniam, że jedyna dostawa radioodbiorników „Zodiak" do sklepu nr 13-1 w Łomży miała miejsce w styczniu bieżącego roku. W związku z powyższym — wbrew temu, co twierdzi klient — nie mógł on otrzymać propozycji wymiany radia „Zodiak" na radio tej samej marki.

Bezpośrednio po wniesieniu reklamacji ustnie zaproponowano klientowi wymianę radia na odbiornik bardzo podobny — „Tosca", albo zwrot gotówki. Wówczas nie zgodził się na żadną propozycję.

Reklamacja ob. Edwarda Chojnowskiego ostatecznie została załatwiona 4 listopada br.; klient odebrał gotówkę.

KRYSTYNA ŁUKASIUK
kierownik Działu Odbioru
Jakościowego i Reklamacji
WPHW w Łomży

PRZY OKRĄGŁYM ŻŁOBIE

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

PIES: — Przepraszam, ale mam wrażenie, że ktoś robi nas tutaj w konia. Wedle moich obliczeń, Wigilia będzie dopiero za jakieś dwa tygodnie, więc dlaczego niby mam już teraz przestać szczekać i zacząć gadać ludzkim głosem?

WÓŁ: — Nie rozumiem, skąd te obiekcje! Zebraliśmy się razem w celu przedyskutowania węzłowych problemów i kluczowych zagadnień, podniesienia, zaopiniowania i przegłosowania, a także wytyczenia, pogłębienia i umocnienia, aby na tej drodze osiągnąć pełniejszą konsolidację zamierzeń i wysiłków...

PIES: — Niemniej jednak mam wrażenie, że ktoś tu nami manipuluje.

SOWA: — Kochany, to kwestia cyklu realizacyjnego tygodnika. Materiały muszą być aktualne, a jednocześnie muszą być one w drukarni wcześniej o te, mniej więcej, dwa tygodnie, bo drukarze też ludzie i mają swoje terminy, poza którymi niczego nie wydrukują. Ale ty tego i tak nie zrozumiesz.

REPORTER: — Ma pani rację. Sami ludzie pojąć tego nie mogą, a co dopiero zwierzęta. W każdym razie witam serdecznie przybyłe i przybyłych i zapraszam do dyskusji pod hasłem: „My i współczesność". Proszę o zabieranie głosu.

ŚWINIA: — Chodzą słuchy, że podobno mam podrożeć. Bardzo mi to odpowiada, nie powiem, rzecz tylko w tym, żebym podrożała jak najdrożej. Z utęsknieniem czekam dnia, w którym jedna moja nóżka będzie kosztować tysiąc złotych. Już widzę, jakim to uwielbianiem ludzie mnie wtedy otoczą, jak będą chuchać na każdy plasterek mojej szynki, jak długo będą się zastanawiać, zanim zdecydują się przełknąć kawałek kiełbasy, nawet tej najtańszej, dowartościowanej papierem toaletowym!

KURA: — Nie bądź taką świnią! Jeśli ludzie wszystkie pieniądze wydadzą na twoje mięso, za co będą kupować moje jaja, których wartość określam na co najmniej sto pięćdziesiąt za sztukę? Mam już

dosyć dotowania własnej produkcji, zwłaszcza że żyję na krajowym koncentracie paszowym, antyrestrykcyjnym. Brrr.

BARAN: — Całkowicie popieram panią kurę. Wszak i moja czysta żywa wełna nie może być dłużej dotowana. Płaszczyk czy garniturek powinien kosztować minimum jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Będzie to cena realna, realistyczna, a także równoważna i, co ważniejsze, prawidłowo ustrukturyzowana.

KOT: — Na szczęście mam własne futro i nie grozi mi chodzenie na golasa.

WÓŁ: — Taka alternatywa nie istnieje. Trzeba wydajnie pracować, a wtedy będą pozanawisowe środki płatnicze wpływać masowo do naszych kieszeni. Spłacimy też wszystkie długi, których mamy więcej niż mniej, jeśli brać nawet pod uwagę same tylko odsetki.

KOŃ: — Niby racja, ale to w gruncie rzeczy wcale nie jest takie proste. Moi przodkowie chodzili kiedyś w kieracie. Klapki na oczy, batem po dupie i koń pracuje. Dzisiaj kierat wyszedł już z powszechnego użycia, koń, zanim przejdzie do galopu ze stępa, najpierw główkuje, czy mu się to będzie opłacać. No bo jeśli ma już galopować, to chce przynajmniej wiedzieć, w jakim kierunku. W kieracie chodziło się donikąd, ale za to w tempie spacerowym, bez wysiłku.

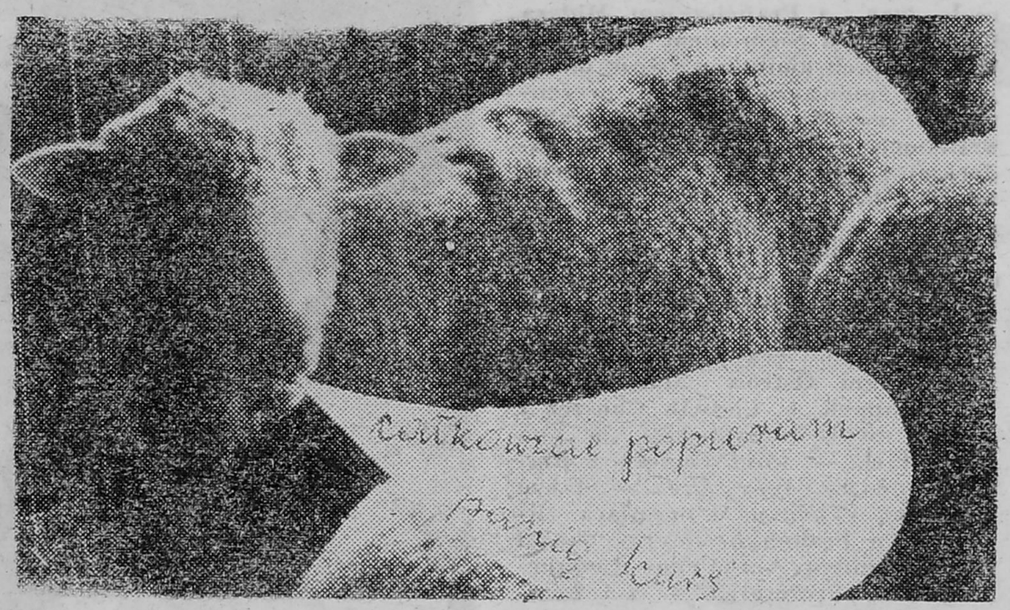

OSIOŁ: — Mój pan i władca postępował ze mną inaczej. Kiedym kroczył po drodze prowadzącej ku świetlanej przyszłości, dyndała mi przed nosem marchewka. Idę ja, idę, a ona ciągle dynda jakby w tym samym miejscu. Miewałem zatem chwile zwątpienia, alem zawsze wtedy obrywał kijem po plecach i siłą rzeczy przyśpieszałem. Długo trwało, zanim się połapałem, o co właściwie chodzi w tej zabawie. Dzisiaj na marchewkę nikt mnie już nie nabierze.

WÓŁ: — Oto do czego prowadzi popuszczanie cugli takim bydlętom. Niech no tylko jedno z drugim wyplują wędzidła, natychmiast w głowach im się przewraca, z czego wynikają same nieszczęścia. Bierzcie przykład ze mnie. Odkąd zaprzężono mnie do karety, ciągnę ten pojazd przez wszystkie zakręty.

KOŃ: — No właśnie! Konie zostały stworzone do wszelkiej jazdy, a i to przecież nie każdy z nas nadaje się pod siodło. Rozumiesz to, wole?

REPORTER: — Kochani, nie kłóćcie się! W końcu wszyscy jedziecie na tym samym wózku.

SOWA: — Wózek wspólny, ale jeden siedzi na koźle, a drugi robi za obręcz u koła.

REPORTER: — Mimo wszystko podajcie sobie łapy i uściśnijcie się wzajemnie.

PIES: — Mam być dla świni psem?

REPORTER: — W takim razie zmieńmy może temat. Co sądzicie o drugim etapie reformy?

KOT: — Myślę, że to etap przejściowy. Ja, na przykład, już od dawna jestem w trzecim etapie. Chodzę sobie własnymi drogami i swoje myszy łowię całkowicie indywidualnie.

KURA: — Oto postawa godna potępienia! My, kury, zawsze chodzimy razem, całym stadem. Daje to nam wszystkim niebywałe korzyści, bo jeśli jedna z nas przypadkiem grzebnie mocniej łapą i wygrzebie kilkanaście ziaren, natychmiast inne rzucają się w jej stronę i każdej coś tam kapnie. Wszystkim mało, ale za to po równo, sprawiedliwie i bardzo demokratycznie.

BARAN: — Zgadzam się całkowicie z szanowną przedmówczynią. W stadzie nie tylko lepiej pod względem żarcia, ale i bezpieczniej nawet. Jeśli memu panu zamarzy się szaszłyk, dajmy na to, zawsze jest nadzieja, że nie na mnie padnie. Im nas więcej, tym szanse przeżycia większe jakby. A poza tym baran w stadzie zwolniony jest od obowiązku myślenia. Idzie za kimś, ktoś wlecze się za nim, tu trawkę szczypnie, tam siusiu zrobi, byle od rana do wieczora.

ŚWINIA: — Nie zgadzam się z szanownym przedmówcą. W moim chlewie koryto jest raczej małe, świntuchów natomiast cała kupa, Dopchać się do żarcia trudno, więc jesteśmy szczęśliwe, kiedy któraś z nas dostaje po łbie obuchem.

REPORTER: — Wkraczamy na grunt nader śliski, a przecież mieliśmy mówić o drugim etapie.

SOWA: — Właśnie o nim mówimy. Drugi etap to nie tylko ceny i podwyżki, ale także sposób na życie.

KURA: — Bardzo słusznie. My, kury, postanowiłyśmy odrodzić się materialnie i już wkrótce zaczniemy stosować grzeb dosiębierny.

REPORTER: — Słucham?

KURA: — Dosiębierny, mówię przecież wyraźnie. Dotychczas grzebałyśmy od się, a teraz będziemy grzebać do się. Naturalnie, w dalszym ciągu całym stadem, ale przy tym systemie grzebania grzebiącemu trochę więcej zostanie ze wspólnego podziału.

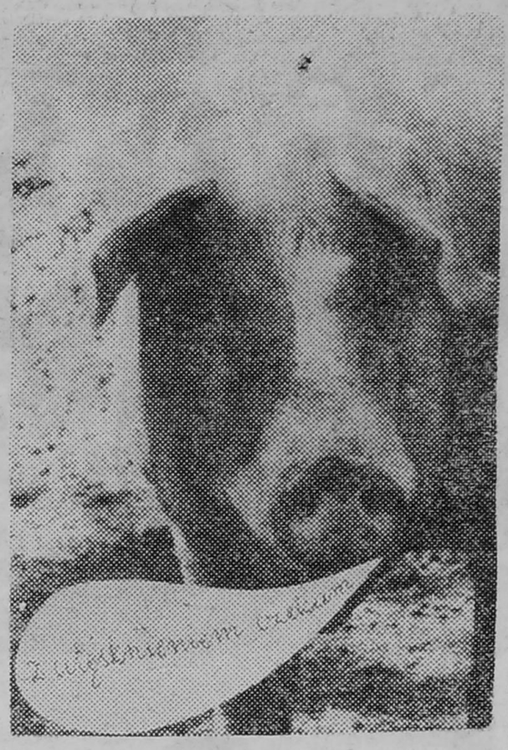

SWINIA: — My, świnie, także opracowałyśmy program uzdrowienia naszej sytuacji. Postulujemy otóż mianowicie całkowitą likwidację koryta, do którego, jak już wspomniałam, tak ciężko jest się dopchać. Gospodarz winien otwierać drzwi do chlewa i lu! — pomyje prosto w nawóz. W ten sposób sobie zaoszczędzi pracy, nam natomiast owej wiecznej przepychanki.

WÓŁ: — My, woły, też chcemy coś postanowić, ale najpierw musimy zebrać się do kupy i uchwalić, co będziemy postanawiać.

OSIOŁ: — W imieniu wszystkich osłów powiem tylko tyle, że już nigdy nie damy się nabrać na dyndającą marchewkę, w związku z czym, wparłszy nogi w jałową glebę, kontestować zamierzamy.

BARAN: — A nam tak dobrze w stadzie i niczego nie mamy zamiaru zmieniać. Jak jest, tak jest, ale jest, a czy to wiadomo, jak będzie, jeśli co innego będzie?

KOŃ: — Słucham ja, słucham i grzywa dęba staje mi na karku.

O wszystkim tu mowa, tylko nie o pracy! Jedna kura zagdakała coś o jakimś dosiębiernym grzebaniu, ale ona cierpi na kurzą ślepotę, w związku z czym perspektywy nie ogarnia.

SOWA: — Musisz wiedzieć, mój koniu, że dyskusja na temat pracy jest nie tylko bardzo trudna, ale również szalenie delikatna. Bo i co tu mówić, kiedy właściwie nie ma o czym gadać?

REPORTER: — Może grono dyskutantów zbyt małe, albo niezbyt właściwie dobrane? Gdzie, na przykład, jest krowa? Przecież ją zapraszałem.

PIES: — Powiedziała mi dzisiaj rano, że może albo ryczeć, albo mleko dawać. A ponieważ jej nie ma, więc zapewne wybrała słuszną drogę laktacji.

REPORTER: — W takim razie i ja dziękuję wszystkim za udział w dyskusji przy okrągłym żłobie. Do pogadania w przyszłym roku!

SOWA: — Chwileczkę. A co będzie, jeśli gospodarz zechce porozmawiać sobie z bydlętami w prawdziwą Wiglię, która nadejdzie przecież dopiero za kilka dni?

REPORTER: — Niech mu bydło powie, że nagadało się już do syta. Teraz przyszła pora na działanie.

MISTRZOWIE TĘGIEGO ZADĘCIA

Tekst i zdjęcia
GABORA LÖRINCZEGO

Tym razem uczestnicy ogólnopolskiego konkursu gry na instrumentach pasterskich nie zawiedli Kazimierza Uszyńskiego, dyrektora Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu. Zjawili się Kaszubi ze swoimi bazunami i górale z trombitami, no i Kurpie z ligawkami. Dziwić natomiast może kilkuletni „bojkot" imprezy przez Kurpi z Puszczy Zielonej. A przecież jest tam kilku tęgich trębaczy, jak choćby Bolesław Olbryś z Dębnik czy Stefan Ulatowski z Dobrego Lasu.

Występy prawie 50 grających oceniało jury z Franciszkiem Miderą i Wojciechem Siemionem na czele. W przerwach konkursu swoje umiejętności śpiewaczo-taneczne prezentowały zespoły: dziecięcy „Modraki" z Białego Dunajca (woj. nowosądeckie) i dorosłych z Kartuz (woj. koszalińskie).

Najlepszymi okazali się: w grze na ligawkach, ex aequo, Roman Skowera i Antoni Wojno z Trojanówka (gm. Klukowo), wśród dzieci — Andrzej Tułowiecki z Grabownicy Starej (gm. Ostrów Mazowiecka). Na bazunach — Ludwik Choszcz z Kartuz (woj. koszalińskie), a na trombitach — Józef Gądera z Białego Dunajca. Jury oceniło także najlepiej wykonaną i brzmiącą ligawę. Tu bezkonkurencyjny okazał się instrument Antoniego Łempickiego — „Profesora" — z Łempic (gm. Ciechanowiec). Wszystkim laureatom gratulujemy.

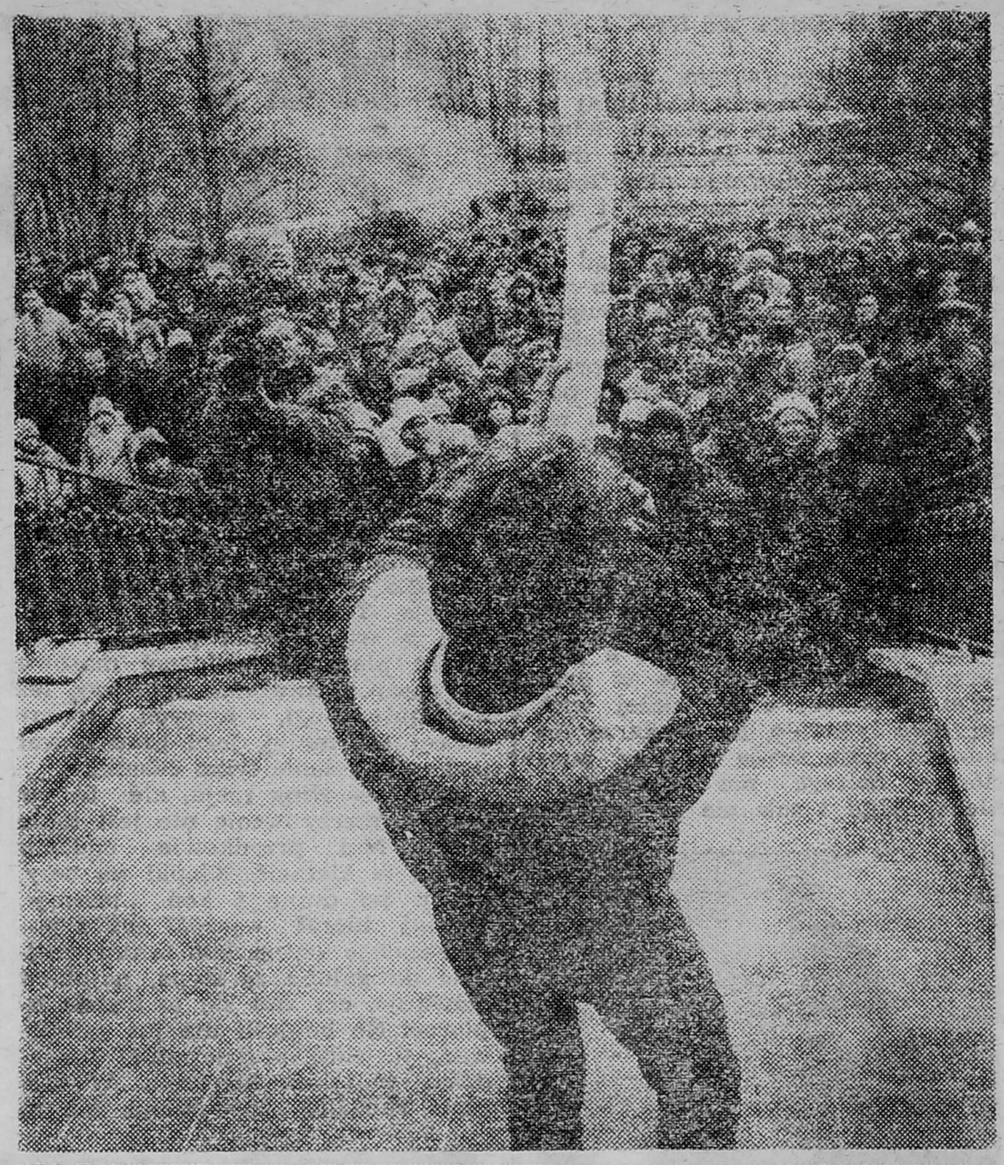

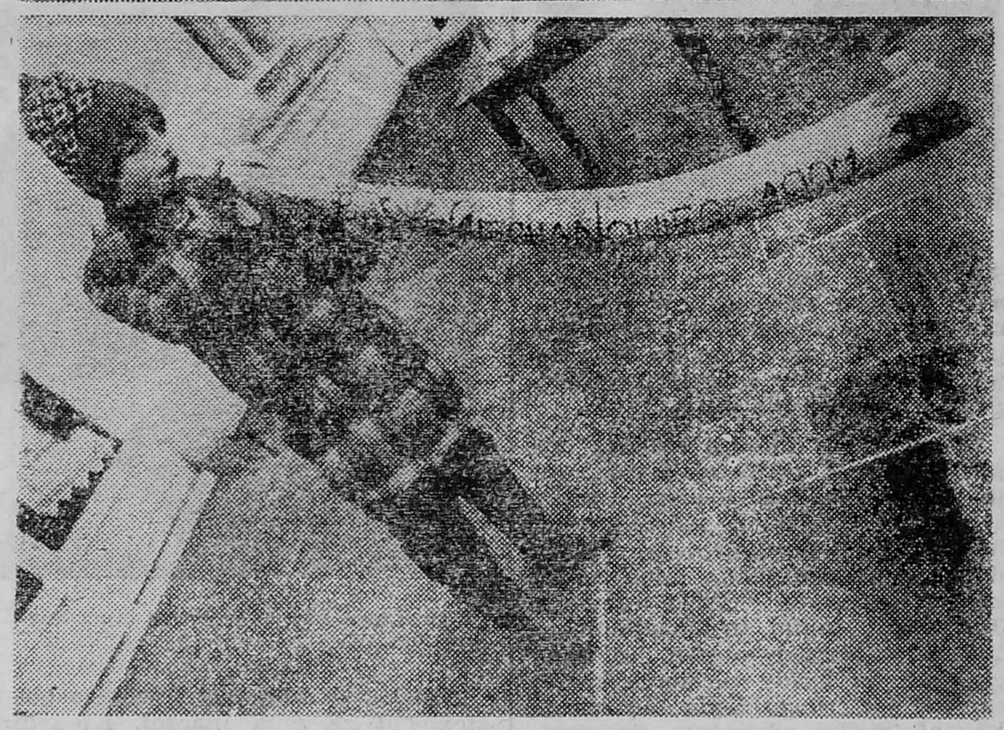

pod amerykańską choinką

ALICIA NIEDŹWIECKA

„Kochany Mężu i cała kochana Rodzino. Zbliżają się Święta, nie mogę myśleć spokojnie, że jestem tak daleko od Was. Zaraz płaczę. Bardzo już chcę wracać do domu. Ale też chcę jeszcze trochę wytrzymać. Dziękuję mile i serdecznie za opłatek. Boże gdzie Wy jesteście? Drugich Świąt bez Was w tej Ameryce już bym chyba nie przeżyła."

błyskotki, migotki, świąteczne osoby

„Wracaj. Nie chcę już tych dolarów, tylko wróć" — pisał mąż do pani Basi.

Wioska nieduża, ze dwadzieścia siedlisk; wokół pola i pola, dalej las, bliżej — rzeka. Ona nie myślała o wyjeździe, nie marzyła jak inni całymi latami. Przypadek sprawił, że pojechała. Został mąż na gospodarstwie; dorosły syn, córka z mężem i wnuczkiem — w Białymstoku. Przedtem nigdzie dalej nie wyjeżdżała, tyle co do Łomży.

Zamieszkały w szóstkę w wynajętym mieszkaniu (Brooklyn): stateczne gospodynie (trzy z Łomżyńskiego) i 70-letnia staruszka (już piąty rok pracująca tam dla rodziny). Pani Basia najpierw sprzątała prywatny dom towarowy, a potem — mieszkania. Razem chodziły do pracy, po zakupy, do kościoła. W niedzielę po mszy szły do pracy.

— Tęskni się. Jak ja płakałam! Moi pracodawcy (polscy Żydzi) nie lubili mnie smutnej. Polka ma być wesoła, uśmiechnięta. I szybka w pracy. Taka byłam. Po dwanaście, po czternaście godzin!

Już dwa tygodnie przed świętami ulice ślicznie poubierane. Przyniosły sztuczną choinkę (— Żywych nie widziałam), ubrały. Kupiły rybę, barszcz, ciasto — wszystko gotowe, smaczne, to po co było robić samemu. Zastawiły stół, usiadły, przełamały się opłatkami przysłanymi z domu.

— Smutno było bardzo.

Nie, prezentów sobie nie sprawiały. Przed północą poszły na Pasterkę do polskiego kościoła św. Stanisława. Tam „Bóg się rodzi, moc truchleje", „Przybieżeli do Betlejem pasterze". Wielu płakało. Od swoich pracodawców pani Basia dostała czekoladę, bluzkę piękną, orzeszki. Tylko jeden dzień świąt jest tam wolny.

— Czas szybko biegnie, co tydzień dolary składa się do banku. Dnie są zajęte.

W pierwszy dzień świąt sześć gospodyń odpoczywało. Kupiły sobie pyszne lody, jadły, wspominały.

— Siedzim sobie i chicholim.

I już nie było tak smutno. Opowiadały, jakie w tych domach, gdzie sprzątały, są ogromne pokoje, specjalnie na święta ubrane takimi błyskotkami, że właściwie nie do opowiedzenia.

Ściągnęła siostrę Jagodę, też stateczną gospodynię (dzieci, wnuki). Pani Basia uważa, że młodzi nie powinni jechać: za dużo pokus, a zwłaszcza jedna — wódka.

Drugie święta już spędziła w domu; zjechała się cała rodzina, szesnaście osób. Teściowa zabiła cielaka, wieprzaka, ale pani Basi nic nie pozwoliła robić: „Ty sobie odpocznij po tej Ameryce". Więc odpoczywała. Bo były już wszystkie maszyny, samochód, nowy dom dla córki, rodzina pięknie ubrana na lato i zimę... I konto też było.

Teraz pojechała pani Jagoda. Zamieszkała w tym samym miejscu i miała tę samą pracę, ale lżejszą, bo tylko u jednej rodziny przez cały tydzień, a nie u kilku.

Pani Jagoda (— Od razu tak wielka zagranica!) dziwiła się bardzo przed świętami: — Ulice tak pięknie ubrane, jak u nas przed biskupem. Błyskotki, migotki, świąteczne osoby. Jadą, poruszają się jak żywe, kręcą, dzwonią Mikołaje, kiwają na wystawach. Bramy domów ubrane żarówkami, całe bloki przyozdobione. Pełno choinek.

Najbardziej nie mogła nadziwić się temu, że sklepy otwarte całą noc i kartek kolorowych tysiące: z muzyczką, ze złotkiem, ze śniegiem, trójwymiarowe, cudne. Kupiły sobie choinkę (— Też sztuczną, bo żywe są drogie), obdzieliły drobnymi prezentami przy „polskiej Wigilii". Od „swojej" rodziny (pięć osób: gotowanie, pranie, prasowanie, sprzątanie) dostała piękny dywan. Wysłała go zaraz na wieś do męża.

I znowu o tej tęsknocie (— Płakałam po nocach); nie koiły jej polskie kolędy, a tylko nadzieja, że na Wielkanoc już będzie w domu.

pachniało Polską

Józef Maleszewski ze wsi Sikory Bartkowięta z dumą pokazuje no-

wą stodołę, oborę w budowie, garaż na sześć samochodów. Kilka lat temu zmarła mu żona, osierocając pięcioro podrastających dzieci. Inni w takich przypadkach sprzedają gospodarstwo, piją z żalu, marnieją. Pan Józef, gdy syn, jego następca, miał już prawie dwadzieścia lat (— Z tysiąca jest tylko jeden taki), postanowił zrealizować swoje marzenie.

— Dwadzieścia lat marzyłem o Ameryce.

Początkowo było bardzo ciężko, mieszkali — ludzie z całej Polski — w piwnicy w trzydzieści osób (cztery pomieszczenia, wspólna kuchnia). Spali po dwóch na jednym łóżku. Rano kanapka, w obiad kanapka, na kolację — gdy nie był zbyt zmęczony — czasem coś ugotował.

Wigilię pan Józef spędził z kuzynami, którzy mieszkali w ładnym domu. Zeszło się do nich z piętnaście osób, znajomych z Polski. Wysoka, „żywa" choinka, stół zastawiony bogato i wódka kolorowa: taka, siaka (— I polskie potrawy. Pachniało tą Polską!). Obdarowali się drobnymi prezentami, bo chodziło tylko o pamięć. Paliły się świeczki, śpiewali kolędy.

— Piło się powierzchownie. Mnie nigdy świat nie runął. Ale niektórzy Polacy trzy dni pili. Niestety, tak jest.

Potem się przeprowadził do normalnego mieszkania. Bardzo mu się nie podobało, że tam jest tyle gangsterstwa. W autobusie, w biały dzień, dwóch terroryzuje pasażerów. Z nożem do dziewczyny: „Oddaj pieniądze!" Oddała portmonetkę. Wyskoczyli. Na następnym przystanku już wsiadła policja: „Dobrze, że pani oddała, bo mogliby zabić".

— Ludzie tam mili, uprzejmi, ale ci bandyci...

Gdy pan Józef przyjechał po dwóch latach, następca już wodę doprowadził do domu, pobudował obejście; w oborze stało dwanaście sztuk bydła. Wszystko potrafi zrobić: i kożuch uszyć, i gotować, i dom postawić. Teraz zabrakło dachówek na oborę, a już powinna być pod dachem.

jak dzieci

— Może pani napisze — mówi Józef Maleszewski — że młodym trzeba iść na rękę, bo uciekają ze wsi.

— Pierwsze święta rozdarte. Tęsknota. Następne: widać Polskę już za mgłą.

Henryk Sosnowski z Łomży (trzy lata pracował w hotelu nowojorskim) uśmiecha się na te wspomnienia. No bo kiedy tam zaczyna się właściwie okres świąteczny? Chyba już 25 listopada — Świętem Dziękczynienia. Święto to zostało ustanowione na pamiątkę przybycia do Ameryki pierwszych osadników. Miastem suną wtedy wspaniałe korowody, ogromne kukły, przebierańce. Amerykanie cieszą się, ucztują. Obowiązkowy jest indyk na pamiątkę tego „indiańskiego", który ratował prapradziadów z głodu; indyk na sto sposobów.

No i zaczyna się wielki handel: tańczące Jezuski, Mikołaje w rytmie rocka, grające orkiestry lalkowe, szopki (— Czasami myślałem sobie, że oni są jak duże dzieci).

Rockefeller Center: sztuczne lodowisko, olbrzymia choinka z tysiącami świateł. Tam co roku zjawia się sam Rockefeller i w pięknej kawiarni tysiąc dzieci dostaje od niego prezenty. Dzieci są wybrane przez organizacje dobroczynne i nie tylko. Przyjeżdża też burmistrz Edward Koch (rodem z Łodzi), wtedy wszyscy krzyczą: „Ed! Ed!" Pięknie.

Pan Henryk powiada, że Wigilię spędził u brata (siedem lat w Nowym Jorku), ale przedtem odwiózł znajomą Polkę do bogatej amerykańskiej rodziny (miała pomóc przy podawaniu do stołu). Wszyscy byli odświętnie ubrani, a stos prezentów prawie zasłonił choinkę. Był tam tylko piętnaście minut, ale powitano go jak miłego gościa (prezent: bawełniana koszula). Od swojego bossa — tak jak wszyscy — otrzymał 150 dolarów i butelkę „Johny'ego Walkera". (— Za te 150 dolarów mogłem kupić dziesięć par wranglerów albo aparat fotograficzny). Dla Amerykanów Wigilia nie jest dniem postu.

U brata pana Henryka było kilka osób („turyści" i rezydenci), a stół — polsko-amerykański, a więc karp po żydowsku, barszcz, wspaniałe wędliny z polskiej masarni, indyk, sałatki, ciasto. W czasie świąt nie wolno utyć (— Tam bardzo wszyscy dbają „o linię"), więc jedzą dużo surówek. Był polski opłatek, a pod „żywą" choinką — prezenty: kosmetyki (— Ja kupiłem bratu książkę w polskiej księgarni) i różne praktyczne drobiazgi. Pod ścianą deska z otworami na alkohole.

— Pije się wódeczkę, ale pomału, spokojnie. Gada się, tęskni. Nie byłem w polskich „barakach", nie wiem, jak tam się obchodzi święta.

* * *

— Czy pojechalibyście jeszcze raz? — pytam moich rozmówców.

Barbara: — Nie. Dosyć już mam tego sprzątania. Człowiek ze swoimi jest szczęśliwy.

Jagoda: — Ja bym pojechała, ale żeby trochę zwiedzić tę Amerykę. Miałam okazję być na Florydzie, nie skorzystałam, bałam się odbić od swoich.

Józef Maliszewski: — Mam 61 lat. Ręce bolą...

Henryk Sosnowski: — Na pewno tak.

NIECH PAN BÓG KUL NIE NOSI

ALEKSANDER KOSEWICZ, emeryt z Dębnik, w tygodniku uczył, jak zrobić skręta („Kontakty" nr 29/81).

— Chciałbym, ażeby jakoś łatwiej było żyć. Emerytury na dwie osoby mam 16 700 zł. Żona chora, ja chory, starcza na mleko, chleb i to prawie wszystko.

Mamy ośmioro dzieci (wszystkie poza domem), 16 wunków, dwóch prawnuków; chciałbym dla nich tylko samego dobrego. Niechby nigdy nie doznały biedy.

Wszystkim młodym życzę dużo chęci do pracy i zadowalających zarobków.

STANISŁAWA CIECIERSKA, rolniczka z Wąsosza, matka 15 dzieci, bohaterka reportażu „Pieśń o szczęściu wielokrotnym" („Kontakty" nr 9/82).

— Dzieciom, trojgu wnuków i mężowi życzę zdrowia. Chciałabym, aby wszystkie szczęśliwie się usamodzielniły, zdobyły zawód i dobrą pracę, która przyniesie im łatwiejsze życie niż nasze. Pozostałe córki (są jeszcze cztery) — niechby znalazły takich mężów, jakiego ma Maria.

Wiele się mówi o pomocy dla wielodzietnych rodzin, więc im wszystkim życzę, by tę pomoc otrzymywały nie tylko w słowach. W naszym sklepie sprzedają teraz po 1 kilogramie mąki i 2 kg cukru. Cóż to znaczy dla mojej rodziny — makaron do jednego obiadu i zaledwie dwie kolacje z osłodzoną herbatą. W całym domu piece zimne. Nie mam węgla. W tym roku nie kupiłam nawet 1 kilograma. Nie proszę o łaskę, a wszystkim życzę, by mieli ciepłe święta.

ŻYCZENIA „CZŁOWIEKA Z OKŁADKI"

ANNA TROKS, bibliotekarka Filii nr 5 WBP w Łomży, prezentowana w tekście „Nagroda" („Kontakty" nr 21/83).

— Sobie życzyłabym, aby moja biblioteka nie była na piątym piętrze, lecz na parterze; zapewne wówczas miałabym więcej czytelników, a ci starsi mieliby łatwiejszą drogę po książkę.

Swoim młodszym koleżankom po fachu życzę większych poborów, aby ich rodziny zbytnio nie odczuły wzrostu cen. Starszym zaś — radości z dzieci i wnuków. Sama dzieci mam pięcioro i ośmioro wnucząt i lubię razem z nimi przeżywać ich uciechy i sukcesy.

STANISŁAW ŁOMOTOWSKI, sołtys Przytuł, bohater fotoreportażu „Witaj gmino" („Kontakty" nr 7/84).

— Mojej gminie życzę, żeby udało się nam zrealizować nasze pragnienie, to znaczy rozbudować szkołę. Ludzie tu są dobrzy i ofiarni. Sami opodatkowali się: po pięć tysięcy każdy gospodarz i do tego jeszcze 10 dni pracy. Zapał jest, aby tylko nie poszedł w niwecz. Przydałoby się też trochę kultury i rozrywki dla młodych. Nie mają tu nawet kina objazdowego.

Naszym kobietom życzę poprawy zaopatrzenia w chleb i wędlinę. Żeby miały tak, jak w Ameryce. Rolnik chowa i sprzedaje, więc powinien móc kupić bez kartek i z miasta nie wracać do domu głodny.

Pragnę, aby rolnikom nie działa się krzywda, bo oni bardzo ciężko pracują. Niech im dobrze się powodzi. Najbliższym życzę pieniędzy jak siana, a wszystkim, żeby wódka nie drożała.

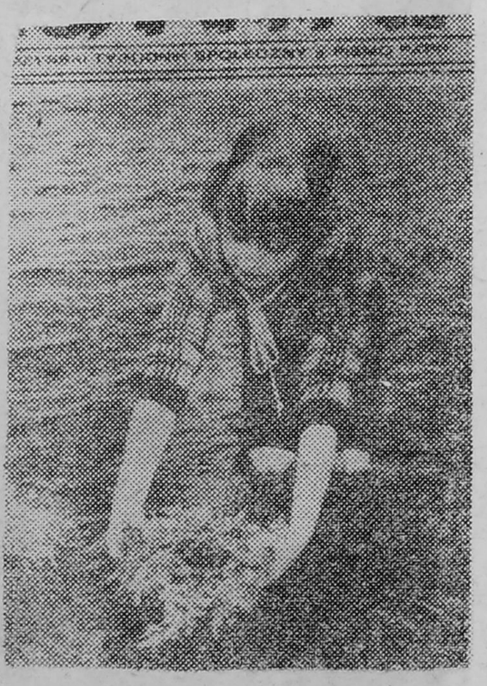

MARTA WIERZBICKA, wzorowa uczennica klasy IV Szkoły Podstawowej nr 1 w Łomży; puszczała wianki w „Kontaktach" nr 25/84.

— Bardzo chciałabym, aby moje babcie i dziadkowie nie mieli żadnych kłopotów ze zdrowiem, żeby wujek Jan nie był taki zaganiany w pracy, a chłopców z klasy naszła chęć do nauki. Mam siostrę Magdę: oby otrzymała swojego wymarzonego pieska „sarenkę" i nigdy, wraz ze mną, nie sprawiała najmniejszych kłopotów mamusi i tatusiowi. Pani Marii Ferenc, która była moją wychowawczynią od I do III klasy, życzę, by szczęśliwie urodziła syneczka lub córeczkę i miała z tego powodu same radości. Wszystkim dzieciom niech się spełnią dwa pragnienia: basen kąpielowy w Łomży i jeszcze bardziej atrakcyjne obozy harcerskie.

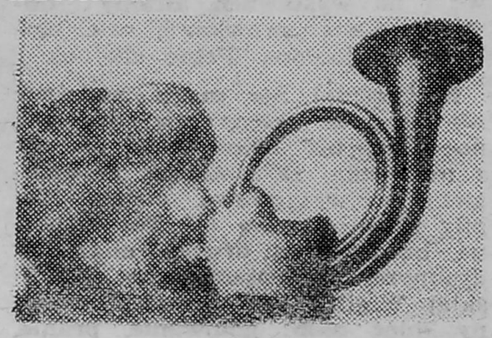

FRANCISZEK WITKOWSKI, najstarszy myśliwy w Łomży, łowczy koła łowieckiego „Bażant" z okładki w „Kontaktach" nr 7/85.

— Marzę, by pod lufę wszedł mi łoś, którego do dziś brakuje mi w myśliwskich trofeach. Kolegom z koła życzę: niech Wam Pan Bóg kul nie nosi! Każdy z nas niechby mógł natomiast pozbyć się niepokoju, że jutro może być gorzej.

TADEUSZ GORSKI, leśnik z Zambrowa, laureat nagrody i medalu Zygmunta Glogera, przedstawiony w artykule „Niespokojny duch" („Kontakty" nr 14/85).

— Gdy jest zdrowie, pieniądze przychodzą same, więc o to nie ma zmartwienia. Ale pragnę, aby było je na co wydać. Aby dla wszystkich starczyło bez wydeptywania i wyczekiwania w tych uciążliwych kolejkach. Ceny niech będą umiarkowane, bo każda podwyżka bardzo martwi ludzi pracy.

Swojemu miastu życzę prawdziwej kanalizacji. Nam wszystkim spokoju i porozumienia w ojczyźnie.

IGNACY BUKOWSKI, emeryt, miłośnik i kolekcjoner białej broni, „człowiek z okładki" w „Kontaktach" nr 19/85.

— Akurat trochę niedomagam, więc bardzo chciałbym pożegnać się z łóżkiem, by znowu wyjść do ludzi, a zwłaszcza móc spotkać się z młodzieżą, co zawsze bardzo lubiłem. Wszystkim nam życzyłbym natomiast, by wreszcie zaczęło się życie normalne i stabilne.

KAZIMIERA FIRGIELEWSKA, rolniczka z Dobrego Lasu („Ballada o kromce", „Kontakty" nr 31/86).

— Chcielibyśmy w końcu zdać gospodarstwo na skarb państwa, a tu ciągle natrafiamy na jakieś przeszkody. Najpierw mówiono o małej wydajności, teraz nie ma kto wydzielić nam siedliska.

Dzieciom nie od razu życzę Ameryki, ale łatwiejszego chleba i lepszego jutra od tego, jakie my mieliśmy. Niechby każde z nich miało zdrowie, pieniądze i samochód. Człowiek z życia musi być zadowolony. A czym tu się cieszyć, jak nie można kupić niczego, ani do domu, ani do gospodarstwa.

Wszystkim życzę sprawiedliwości i zlikwidowania łapownictwa. Chciałabym, żeby można było załatwić wiele spraw bez prowadzenia za sobą na sznurku byka, lub bez ściskania w kieszeni stu tysięcy złotych.

ANDRZEJ JEŻEWSKI, magazynier Wojewódzkiego Zakładu Gospodarki Materiałowej i Zaopatrzenia w Nowogrodzie, bohater reportażu „Urodzeni pod jedną datą" („Kontakty" nr 29/87).

— Moje miasto niech wolne będzie od dużych i małych paradoksów. Przykład: — ostatnio zabrano nam z centrum aptekę. Teraz na jednym krańcu miasta jest ośrodek zdrowia, a na drugim apteka.

Kultura zupełnie i dosłownie odgrodziła się od miasta. Nie ma u nas żadnej rozrywki. Kino od roku w remoncie, a w gospodzie, choć nie każdego na nią stać, nie wypijesz nawet kawy.

Nowogrodzkiemu skansenowi życzę, aby wyglądał przynajmniej tak, jak 15 lat temu. Wówczas latem przed chatkami były uprawiane ogródki. Teraz bardzo mi tego brakuje w jego krajobrazie.

Sam łowię, więc dla wszystkich wędkarzy pragnę, żeby mieli co łowić i w czym łowić. Kiedyś Narew była rybną rzeką. Dziś jak nie butelka, to piana z krochmalni płynie, a to ciężko na wędkę złapać.

Chciałbym też, abyśmy byli rozumiani i sami mogli rozumieć.

Płk. EDMUND JASZEWSKI, zastępca szefa WUSW w Łomży, rozmówca z wywiadu „Dyscyplina na kołku" („Kontakty" nr 38/82).

— Dla oficera milicji najistotniejszą rolę odgrywa stopień zaufania społecznego, które jest warunkiem sine qua non naszego powodzenia. Dość powiedzieć, że na każde 3 wykryte przestępstwa, 2 w dużej części są zasługą pomocy społeczeństwa. W poparciu społecznym tkwi nasza siła i nasza niemoc, dlatego chciałbym, żeby było ono jeszcze większe. Zdaję sobie sprawę, że zaufanie możemy sobie zaskarbić tylko sprawnością, dobrą i rzetelną pracą. Pragnąłbym więc, by wysiłek moich funkcjonariuszy, wielogodzinna, nienormowana służba, nie znająca co to nadgodziny i dodatek za trudną pracę owocował coraz lepszymi efektami, a w ślad za tym coraz większym uznaniem społecznym. By nie niweczył go nawet tak odosobniony przypadek, jak ten, który zdarzył nam się w tym roku: kierowca zgłasza, że pirat drogowy urwał mu drzwi i słyszy radę, żeby jego tożsamość ustalił sobie w wydziale komunikacji. Mówię o tym, gdyż takich postaw ze swej strony nie tolerujemy. Byłbym niezwykle rad, gdyby i ludzie mniej tolerowali zło wokół siebie, wykazywali więcej dbałości i troski o swoje mienie i bezpieczeństwo.

Rodzinie życzyłbym, abyśmy wspólnie mieli znacznie więcej czasu „dla siebie". Synowi, który jest członkiem „Oddziału Zamkniętego" i zespołu Martyny Jakubowicz — czołowych miejsc na listach przebojów. Córce — spełnienia dziewczęcych marzeń, A sobie? Częstszych wypraw z „kijem". Na ryby.

„Zawsze z ogromnym wzruszeniem wraca się do miejsc, z którymi człowiek związany jest pochodzeniem. To wzruszenie nie jest mi obce. Chociaż w życiu swoim byłem tu i ówdzie, zwiedziłem kawał świata, to jednak z największą radością wracam do miejsca swojego urodzenia, jak również do miejsca urodzenia swoich ojców i dziadów. Wyobrażam sobie, jak było wtedy, gdy oni żyli: jakie były warunki ich bytowania, jaka dola, jak wtedy smakował chleb, czy nie brakło go i czy był należycie uszanowany."

To wyznanie kardynała Stefana Wyszyńskiego pochodzi z 1964 roku. I wcześniej, i później był mu wierny: chętnie wracał do Kamieńczyka (z parafii tej pochodziła rodzina jego matki), do Andrzejewa, gdzie

ZUZELA KRAJ LAT DZIECINNYCH

spędził wczesną młodość, do Łomży (w latach 1914—17 uczył się tu w Gimnazjum im. Piotra Skargi) i przede wszystkim do Zuzeli — miejsca urodzenia.

Stefan Wyszyński urodził się w 1901 roku, w rodzinie organisty parafialnego. Zuzela na początku stulecia była ubogą wsią, położoną przy trakcie nadbużańskim. Po latach kardynał zanotuje: *„Pamiętam pierwsze po obudzeniu się wejrzenie przez okno na niedaleki Bug, którym płynęły berliny ze zbożem, świecące z daleka białym płótnem żagli. Było to dla nas ulubione zajęcie: prosto z łóżka biegliśmy do okna, aby je zobaczyć".* Inne wspomnienia z dzieciństwa: głęboka religijność rodziców; stara, niepiśmienna chłopka, nosząca przy sobie tom pism Tomasza á Kempis; ludzie związani z kościołem w Zuzeli; pierwszy nauczyciel z jednoklasowej wiejskiej szkółki, w której rozpoczynał edukację; koledzy, koleżanki... Wielkie wrażenie wywarło na nim rozpoczęcie budowy nowego, murowanego kościoła w stylu neogotyckim (na miejscu drewnianego), istniejącego do dziś. Było to olbrzymie przedsięwzięcie dla niebogatej parafii. Stroną organizacyjną i finansami budowy zajmował się jego ojciec. Wyszyński wspomina: *„Pamiętam pierwsze wykopy pod fundamenty świątyni. Widziałem olbrzymie sterty wydobytych z tych wykopów kości naszych pradziadów, dziadów i ojców, które później, po zakończeniu budowy, uroczystym pogrzebem pochowano pod murem świątyni".* I jeszcze jedna impresja: *„Nocą mój ojciec zabierał mnie nieraz w odległe lasy. Jechało z nim zawsze kilku miejscowych zaufanych gospodarzy. Stawiali krzyże na drogach i różnych kopcach [...]. Wracaliśmy w zupełnym milczeniu, nigdy nie wolno było mówić o tym ani słowem".*

W roku 1920 Stefan ostatecznie opuszcza *„umiłowaną Ziemię Łomżyską"*; rozpoczyna studia w Seminarium Duchownym we Włocławku. Ojciec z rodziną przenosi się do Wrociszewa nad Pilicą. Na cmentarzu w Andrzejewie zostawia grób żony, matki Stefana.

powroty

Historia obeszła się z tym spokojnym, zawsze nieco sennym zakątkiem pogranicza mazowiecko-podlaskiego wyjątkowo okrutnie. Podczas drugiej wojny światowej linia Bugu stanowiła najpierw granicę między wojskami radzieckimi i niemieckimi, a potem — w końcowej fazie wojny — główną linię frontu. Niemcy zniszczyli kościół, a wraz z nim — archiwum parafialne, pełne śladów po rodzinie Wyszyńskich. Mieszkańcy okolicznych wsi, kilkakrotnie wysiedlani i ewakuowani — potracili swój dobytek; po wyzwoleniu większość nie miała dachu nad głową. Dziś ze starej zabudowy, pamiętającej czasy dzieciństwa Prymasa, pozostał w Zuzeli tylko cudem ocalały drewniany budynek szkolny oraz — odbudowany w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych — neogotycki kościół.

Inne parafianie mają za złe zwłaszcza obecnemu proboszczowi). Nikt specjalnie nie zadbał też o pamiątki przeszłości. Przykładem może być drewniana chrzcielnica z początków stulecia, wyrzucona do lamusa jako bezużyteczny grat. Dopiero pamięć kardynała i skrzętność Dworakowskiego znów wydobyły ją na światło dzienne. Dziś, po renowacji, stanowi cenne wyposażenie świątyni.

Zuzela dziś

Wkrótce po śmierci Prymasa Tysiąclecia, jak nazwał Wyszyńskiego papież Jan Paweł II, wokół Zuzeli rozpoczął się ruch. Jego inicjatorem był Stanisław Dąbkowski, lekarz z Warszawy, pochodzący z sąsiadującej z Zuzelą wsi Ołtarze. Dzięki zabiegom Dąbkowskiego w 1982 roku powstał Społeczny Komitet Budowy Muzeum Prymasa w Zuzeli. Pierwszym efektem działalności Komitetu był odsłonięty w listopadzie bieżącego roku (na terenie przykościelnego cmentarza) spiżowy pomnik Stefana Wyszyńskiego; statuę po-

Zaś w pamięci ludzi pozostały częste powroty kardynała, choć tych, którzy zetknęli się z nim osobiście, żyje już niewielu: dwóch, najwyżej trzech. Przyjeżdżał bez hałasu, w towarzystwie jednej lub dwóch osób; wstępował do kościoła, gdzie modlił się przed zachowanym z czasów jego dzieciństwa obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej (tym samym, przed którym lubił modlić się jego ojciec); w towarzystwie kościelnego spacerował po okolicy; zawsze odwiedzał cmentarz.

Starsi ludzie zapamiętali go tak: „Był wysoki, postawny, przystojny Odnosił się do nas życzliwie, choć te spotkania zawsze były przypadkowe, nie przygotowane. Dzieciom na pamiątkę rozdawał obrazki".

Antoni Dworakowski, długoletni kościelny parafii zuzelskiej (rówieśnik Prymasa, dziś emeryt) potwierdza, że Wyszyński co roku, w okolicach Święta Zmarłych, jadąc do Andrzejewa na grób matki, zatrzymywał się w Zuzeli. Interesowało go wszystko, co z jego „kraju lat dziecinnych" zostało po zniszczeniach wojennych; każdy człowiek, każdy drobiazg

Parafia zuzelska, choć zdobyła się na spory wysiłek odbudowy kościoła, nigdy w okresie powojennym nie należała do kwitnących (co notabe-

święcił sam papież w dniu zakończenia Ogólnopolskiego Kongresu Eucharystycznego. Uroczystości odsłonięcia pomnika zgromadziły tłumy wiernych z całego kraju

Kolejnym przedsięwzięciem Komitetu będzie budowa samego muzeum; ma je stanowić zrekonstruowany budynek wiejskiej szkółki z początków stulecia, w której rozpoczynał naukę Stefan Wyszyński. Za wzór posłuży istniejąca do dziś, chyląca się ku upadkowi, budowla Wewnątrz urządzona zostanie klasa szkolna oraz odtworzone mieszkanie Wyszyńskich (pomoc przy kompletowaniu wyposażenia obiecuje Muzeum im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu).

Sprawa Muzeum Prymasa zjednoczyła wielu ludzi; nazwa wsi przewinęła się przez łamy prasy, rozszerza się wciąż krąg zainteresowanych A co sami mieszkańcy? Większość z około sześćdziesięciu gospodarzy w sławie, jaka spadła na ich miejscowość, widzi dla siebie szansę. Trzeba tylko wszystkim rozumnie pokierować; tak, by zainteresowanie „krajem lat dziecinnych" Prymasa, zaowocowało „awansem cywilizacyjnym" Zuzeli A zanosi się na to, że ruch pielgrzymkowy i turystyczny będzie znaczny

MARIA KACZYŃSKA

spięcia

O referendum zapisano 5421,21 kg papieru, w tym około 3220 kg (dane równie wiarygodne, jak wiele innych) zajęły teksty mniej lub bardziej kabaretowe w całości albo we fragmentach. Przegląd ich autorów wskazuje na iście prawdziwą demokrację: od ministra do stażysty w słowie. Żeby jednak nikt się nie czepiał, iż w oku bliźniego potrafimy dostrzec belkę, w swoim natomiast nie widzimy nawet źdźbła, sięgniemy po przykład z własnego podwórka. Oto naczelny publicysta w „Przesłaniu do wątpiącego" napisał: „Przeciętny Polak, na co wskazują sondaże socjologiczne, ceni sobie przede wszystkim poczucie sprawiedliwości wyrażane w haśle «Wszyscy mamy równe żołądki». Z tego wniosek, że wszyscy powinni otrzymać mało, ale równo". Po lekturze tego fragmentu zgłosił się przeciętny Polak i orzekł, że jest skłonny udowodnić, iż wszyscy przeciętni Polacy zgodzą się otrzymywać równo, ale dużo. Najbardziej zaangażowane pióra nie powinny nigdy zapominać, że przeciętnego Polaka stać właśnie na wielkie wyrzeczenia.

★

Wiceminister finansów zapewnił chłopów na łamach „Zielonego Sztandaru", że podwyżki cen skupu płodów rolnych następować już teraz będą łącznie ze zmianami cen środków produkcji dla rolnictwa. Uśmiały się chłopy aż po portfele!

★

Jedną z najbardziej kontrowersyjnych (w prasie „nadziemnej" przeczytaliśmy nawet ostre słowo „sabotaż") decyzji gospodarczych w mijającym roku było ustanowienie 12-procentowego progu wzrostu funduszu płac. Darujmy sobie szczegółowe analizy, dość że pod naporem tzw. życia znowu trzeba się z niej na kilku frontach (przedsiębiorstwa obsługujące rolnictwo, budownictwo mieszkaniowe), wycofać, czyli po raz kolejny uraczono nas przepisem, którego z całą konsekwencją nie udało się utrzymać. Niekonsekwencja w egzekwowaniu prawa, twierdzą prawnicy, prowadzi do demoralizacji. Przesada: nagminny brak konsekwencji też jest konsekwencją.

★

Sprawą, która w roku 1987 wywołała najbardziej długotrwały szum propagandowy, była atestacja stanowisk. Generalnie doprowadziła do dwóch zasadniczych wniosków: przedsiębiorstwa zatrudniają tylu pracowników, ilu trzeba, a nawet trochę niektórym brakuje; każdy dzielnie spisuje się na zajmowanym stanowisku, a mógłby niekiedy jeszcze dzielniej, gdyby czasami nie hamowała go biurokracja. Nawet Kolumb, gdyby żył, tego jajca by nie odkrył!

★

Na najbardziej pijany pomysł wpadł latoś oddział krakowski Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, który zaciągnął przed sąd telewizyjnych „Skautów Piwnych", oskarżając ich o propagowanie — nazwą! — pijaństwa. Trafił jak... pijany pod kran.

★

Najgenialniejszym odkryciem polskiej medycyny było stwierdzenie resortu zdrowia, że igieł jednorazowe używać można wielokrotnie. Fakt, jesteśmy w takiej sytuacji, iż jedno ukłucie nie jest już dla nikogo dowodem, że nie boli.

Henryk Zawadzki na próżno wypatrywał swych gęsi w obejściu i na drodze. Całe stadko, jesiennie już przez żonę podskubane, przepadło. Przeczucie, że zginęły nie przez gęsią głupotę, lecz z okrutnego ludzkiego wyrachowania, kazało mu gnać do gminy na posterunek.

Po wysłuchaniu go komendant zapytał tylko, czy w ogrodzeniu są dziury. Zawadzki uznał, że jest to typowe szukanie dziury w całym: jakby komendant widział w Kossakach jeden szczelny płot albo nie wiedział, że nic tam nie ginie przypadkowo. Zawadzkiego poniosło, gdy komendant spokojnie mu doradził, żeby się za gęśmi rozejrzał po łąkach. Uświadomił sierżantowi Ostrowskiemu, że od szukania jest nie on, a milicja, i nie o gęsi chodzi przede wszystkim, a o złodzieja. Zrozumiał wszakże, że na razie nic więcej nie wskóra, i wrócił na wieś zasięgnąć języka.

Jego prywatna lista zdolnych do zajęcia mu stada nie była, niestety, krótka. Jednak już następnego ranka Zenobia Mocarska rzuciła poważny cień podejrzenia na Wacława Mocarskiego, w niedzielę zaś Władysław Śliwa spotkał na pegeerowskich łąkach samotną gęś. Ponieważ słyszał już o aferze, poinformował Zawadzkiego. Fakt, że gęś znalazła się trzy kilometry od chałupy, nie wyjaśniał losu pozostałych, stanowił jednak podbudowę do dalszej interwencji Zawadzkiego w posterunku.

Tym razem okazała się skuteczna, gdyż już w poniedziałek pojawił się we wsi kapral Jan Sokolik. Nie gadał z ludźmi bynajmniej po próżnicy, lecz w celu sporządzenia urzędowej notatki: *„Wykonując czynności służbowe w Kossakach w dniu 21.09.87 r. przeprowadziłem rozmowy z mieszkańcami na okoliczność zaginięcia 13 sztuk gęsi z posesji Henryka Zawadzkiego. Ustaliłem, że obejście, w którym znajdowały się gęsi, było źle ogrodzone, brama otwarta, a wszyscy domownicy w polu, na wykopkach [...]. Istnieje przypuszczenie, że po wyjściu z ogrodzenia gęsi udały się w kierunku łąk pegeeru. Gęsi mogły zostać rozpędzone w drodze przez wałęsające się psy. Istnieje również uzasadnione przypuszczenie, że mogły one być zagryzione przez bezpańskie psy lub lisy przebywające w pobliskich lasach"*. Kapral Sokolik odnotował ponadto zeznanie Zenobii Mocarskiej o zachowaniu się Wacława Mocarskiego (zbieżność nazwisk jest przypadkowa, obie strony wypierają się powiązań rodzinnych). Krytycznego ranka, o jedenastej, widziała ona, *„jak Mocarski Wacław pędził na swoje podwórko stadko gęsi, co było o tyle niezwykłe, że sam posiada tylko jedną"*.

Kapral Sokolik nie wątpił, że pani Zenobia doskonale się orientuje w stanie posiadania sąsiada zza płotu. Notabene: w tym przypadku płot jest pojęciem czysto umownym, gdyż mimo procesowania się o drób, który dzieci Zenobii Mocarskiej (w sumie dwanaścioro) miały kraść Wacławowi Mocarskiemu, nigdy nie pomyślał on o uszczelnieniu swych granic. Stan permanentnego skłócenia powodował jednak, że przedstawiciel służb porządkowych wątpił nieco w obiektywizm spostrzeżeń pani Zenobii. Odnotował wszelako, że w ów piątek, 18 września, około południa, Mieczysław Kulikowski zauważył Wacława jadącego dwukółką na odległe od wsi łąki i wracającego po jakichś 30 minutach.

Wacław Mocarski ani myślał odżegnywać się od wszelkich kontaktów z gęśmi Zawadzkiego: — Nie raz — przyznał — przepędzałem różne gęsi. Po przebudowaniu stodoły nie miałem w niej wierzei. Kiedy młóciłem zboże, zawsze coś zostawało na klepisku i ptaszyska z całej wsi się zlatywały. Niektóre wtedy zajmowałem.

Na piątkowy ranek przedstawił jednak alibi: jeździł do gminy, aby w eskaerze załatwić prasę do słomy.

W tygodniu, kontynuując czynności służbowe, kapral Sokolik ustalił jednak bezspornie, że Mocarski był w gminie w czwartek, 17 września, a krytycznego dnia jedynie telefonował. Kłamstwo nie stanowiło wszakże dowodu, dlatego Jan Sokolik ponawiał próby przekonania Zawadzkiego, że psy są bardziej niż ludzie dysponowane do bezwzględnych czynów wobec ptactwa domowego.

Liczył zapewne, że argumenty trafią na podatny grunt, skoro sam Henryk Zawadzki tej wiosny dwukrotnie był karany grzywnami za to, że jego pies uszkodził żywe mienie innych rolników. Najpierw napadł na pasące się owce Apolonii Mocarskiej, a wkrótce potem zagryzł dwie nutrie należące do jej syna, Jana Mieczyńskiego. Rozszarpane zwierzątka futerkowe Jan Mieczyński osobiście przyniósł na posterunek. Wacław Mocarski zeznał natomiast, że widział wilczura Zawadzkiego w akcji nad bajorkiem przy domu Mieczyńskiego, w którym żyją sobie na wolności nutrie. Obejścia i zwierząt strzeże ogrodzenie, które jednak nie stanowi problemu dla trzech psów Zawadzkiego, notorycznie hasających po wsi luzem. Chociaż wina wilczura została udowodniona, 5000 złotych grzywny zapłacił Zawadzki w kolegium wyłącznie za nietrzymanie psów na uwięzi. Mieczyński zaś został pouczony o prawie do roszczenia na drodze cywilnej odszkodowania za dwie skórki.

Henryk Zawadzki nieraz zapewne przeklinał niekorzystne położenie geograficzne swojej zagrody: płot w płot z Janem Mieczyńskim, a przez drogę — z Wacławem Mocarskim. Obaj, wraz z Apolonią Mocarską, matką Miecińskiego, od lat stanowili trzon klanu Mocarskich. Na szczęście Zawadzkiego — Wacław skłócony jest ze swą sąsiadką, Zenobią Mocarską, która kontroluje nieco jego poczynania. Poza tym od czasu, gdy Zenobia została zlewniarką, posiada on niemały wpływ na kształtowanie się opinii oraz przepływ informacji w Kossakach.

Dalszy rozwój wypadków w zagrodzie Henryka Zawadzkiego znalazł odbicie nie tylko w porannych komentarzach w zlewni mleka, lecz i w szczegółowym protokole ustnego zawiadomienia o przestępstwie: *„30 września* — informował Zawadzki gminne władze porządkowe — *w ogrodzie za stodołą przywiązałem swego psa łańcuchem do jabłonki, na której był owoc. Z tego powodu go uwiązałem, żeby obce dzieci nie zrywały jabłek. Następnie stwierdziłem, że przy drzewie nie było już psa, a jego łańcuch wisiał na gałęzi. Akurat nadszedł na moje podwórko sołtys wsi Bogdan Dmoch, do którego powiedziałem, że zginął mi pies. A on mnie, że rano spotkał Wacława Mocarskiego, który zapowiedział, że już Henryk Zawadzki swego psa nie będzie oglądał [...]. Tego samego dnia Adolf Kulikowski powiedział mi, że około 300 metrów od naszej wsi, w lesie, widział psa wiszącego na brzózce. Zawołałem sołtysa i we trzech pojechaliśmy zobaczyć. Rozpoznałem swojego psa, powieszonego za szyję na drucianej linie"*.

Wszyscy we wsi wiedzą, argumentował Zawadzki, że sprawcą jest Mocarski. Np. Mieczysław Kulikowski opowiedział mu 5 października, co słyszał od innych: że poduszone gęsi leżą w papierowych workach na łące przy rowie melioracyjnym. I rzeczywiście tam właśnie je odnalazł z zięciem, Tadeuszem Dmochem, dlatego wnosi o pociągnięcie Mocarskiego do odpowiedzialności karnej za uduszenie 12 gęsi i powieszenie psa.

Funkcjonariusze mieli 6 października pełne ręce roboty. Trzy godziny zajęły wizje lokalne. Wygląd psa, sposób i miejsce jego powieszenia zostały szczegółowo opisane. Równie skrupulatnie sporządzono protokół z oględzin gęsi. Miały one zniekształcone — pod wpływem silnych uderzeń — łby i były już w stanie rozkładu. Milicjanci wykonali również szkice sytuacyjne oraz serię zdjęć dowodowych.

Jedyny podejrzany, Wacław Mocarski, został przesłuchany na posterunku MO. Najpierw się komendantowi urzędowo przedstawił: lat 39, żonaty, dwoje dzieci. W 1985 r. przejął po ojcu gospodarstwo wielkości 11,62 hektara. Posiada 7 sztuk bydła, 14 tuczników, podstawowy sprzęt rolny, telewizor i lodówkę. Odsiedział 2,5 roku kary więzienia, wymierzonej przez sąd w 1972 r., za bójkę. Przyznał, że z większością mieszkańców wsi nie żyje zgodnie, a w kwestii psa Zawadzkiego — że zatłukł go w afekcie, wilczur bowiem wlazł do okólnika i zagryzł tucznika o wadze 105 kilogramów. Po paru dniach widział jak pies wbiegł do jego chlewa za uciekającym przed nim cielakiem. Wpadł za nimi, zaparł drzwi i drewnianym kołkiem kilkakrotnie psa uderzył, następnie włożył go na dwukółkę i wywiózł do lasu. Kto go powiesił na drzewie, nie ma pojęcia. Do zabicia gęsi absolutnie się jednak nie przyznawał. Odpędził je, ale co się z nimi dalej działo, nie wiedział.

Z przesłuchań licznych świadków najbardziej interesujące wydawały się zeznania Wincentego Dobrowolskiego. Obalały one bowiem podawany przez Wacława Mocarskiego motyw zabójstwa psa: zemstę za zagryzionego wieprza. Otóż dzień po zaginięciu wilczura Wincenty Dobrowolski jechał z Wacławem Mocarskim do gminy. Dobrowolski wiózł dętki do wulkanizacji, a Mocarski 10 tuczników na punkt skupu: *„Gdy wracaliśmy po południu* — zeznał Dobrowolski — *na podwórzu Mocarskich przy drzwiach chlewa leżała dorodna świnia, a żona Wacka lamentowała, że gniazdo tuczników zadusiło ją i pogryzło"*.

Następnego dnia po złożeniu tego oświadczenia ktoś obciął kabel przy silniku Dobrowolskiego. Energiczne poszukiwanie nie przyniosło rezultatów. Sołtys Dmoch czuł jednak, że to zemsta na Dobrowolskim za powiedzenie prawdy: „Dobrowolski — argumentował — to rocznik 1907. Kiedy trzeba się było uczyć kłamać, był już za stary na naukę".

Słowa Wincentego Dobrowolskiego potwierdziły wyniki sekcji świni: *„Niewydolność krążenia na skutek zmęczenia zwierzęcia i pogryzienia. Przyczyną mogło być wprowadzenie tego tucznika do obcego stada świń, które z reguły atakują nowo wprowadzonego osobnika"*.

28 października komendant Mateusz Ostrowski zamknął sprawę i przesłał kilkudziesięciostronicowe akta do Prokuratury Rejonowej. „Wywołałyby w nas zdziwienie — twierdzą pracownicy Prokuratury — gdyby miejscem akcji nie były Kossaki." Aktywność mieszkańców tej wsi, szczególnie nasilona w latach osiemdziesiątych, daje się odczuć nie tylko w gminnym posterunku. Najgrubsza teczka akt dotyczy zatargu z 1981 r. W Prokuraturze sprawa znana jest pod hasłem: „Rowek w Kossakach", we wsi zaś — „Tama"; pisała także o niej prasa.

Tamę wybudowała Apolonia Mocarska w przypływie rozpaczy w listopadzie 1980 r. Wówczas to, po zmianie stosunków wodnych, jaka nastąpiła wskutek zasypania przydrożnego rowu oraz po niezwykle deszczowym lecie, wody opadowe zaczęły regularnie podtapiać jej siedlisko. Wiedziała, że interwencja w gminie o udrożnienie rowu nic nie da, gdyż rozsiadła się już na nim stodoła Śliwów; bezprawnie, lecz zgodnie z decyzją naczelnika, Czesława Gąsiorka, prywatnie — kuzyna Śliwów. Kamienna zapora stanowiła więc, zdaniem Apolonii Mocarskiej, jedyną możliwą obronę. Okazała się też skuteczną bronią, dotkliwie bowiem ugodziła w Śliwów: wody opadowe znalazły sobie natychmiast ujście na ich siedlisko. Spowodowało to dramat w oborze: pięć krów padło, pozostałe chorowały. Woda „obmyła" po drodze leżące na podwórku worki z mocznikiem, a następnie zatruła paszę. Przypadek ten dostarczył dowodu ich przeciwnikom na to, że komisant Śliwa, zamiast trzymać nawozy w magazynie, gromadził je nieprzepisowo pod chałupą. W skargach sygnowanych przez Wacława Mocarskiego, Jana Mieczyńskiego i Stanisława Żebrowskiego „w imieniu mieszkańców" zarzucano też Śliwie, że bezprawnie rozsprzedawał nawozy rolnikom innych miejscowości, krzywdząc współmieszkańców.

Kwestia rowu nigdy nie została rozstrzygnięta przez kompetentny szczebel centralny czy

DANUTA I ALEKSANDER

SPRAWY I LUDZIE

wojewódzki, gminny natomiast zareagował błyskawicznie... pismem nakazującym Apolonii Mocarskiej rozebranie tamy i wpłacenie do kasy gminnej 1500 złotych. Wobec jawnego lekceważenia przez Mocarską urzędowej decyzji naczelnik osobiście zjechał do Kossaków z robotnikami, którzy tamę rozebrali.

Wiejskie zebranie sprawozdawczo-wyborcze zaplanowane było tamtego roku na grudzień. Dostojni goście z rejonu i województwa, w tym dyrektor Spółdzielni Mleczarskiej, którzy mieli je obsłużyć, zdążyli przywitać gospodarzy i złożyć im życzenia świąteczna. Rozsierdzony Konstanty Dudek, do niedawna zlewniarz w Kossakach, wystąpił z takim koncertem, że chłopi czmychnęli do swych chałup, a gościom nie wypadło postąpić inaczej. Wystąpienie byłego zlewniarza uświadomiło postronnym, że polaryzacja wrogości we wsi bynajmniej nie nastąpiła podczas sporu o tamę, lecz nieco wcześniej. Zastrzeżenia do Dudka zrodziły się na fali pretensji, która przewaliła się przez punkty skupu po zmianie systemu odpłatności za mleko. Wówczas to i Władysław

Śliwa poczuł się oszukiwany przez Konstantego Dudka. Swoją prawdę wygarnął zlewniarzowi prosto w oczy, i to publicznie, bo podczas kontroli zlewni, w której uczestniczył sam dyrektor Okręgu. Gdy Śliwa zjawił się nazajutrz z mlekiem, Dudek nie uwzględnił faktu, iż Śliwa zasadniczo nie ucierpiał fizycznie, a gniew Dudka był słuszny, i zlewniarz stracił pracę.

Sama opatrzność wydawała się jednak być po stronie poszkodowanego zlewniarza. Wkrótce w studniach jego trzech zagorzałych wrogów pojawiły się jakieś zanieczyszczenia. Ówczesny sołtys, Jerzy Żebrowski, również oponent Dudka, poczuł palec Boży najdotkliwiej: jednej nocy padły trupem trzy jego krowy. Płuca im rozerwało, stwierdził weterynarz, ale nie wiedział, od czego. W Nowy Rok mieszkańcy Kossaków weszli tradycyjnie ze starymi waśniami i świeżymi pomysłami. Apolonia Mocarska w dzień świąteczny zaczęła budowę nowej tamy, większej i solidniejszej od poprzedniej.

Naczelnik napiętnował ludzką złośliwość, ponownie nakazał rozbiórkę zapory, a w końcu pomógł Śliwom w wybudowaniu kontr-tamy, czyli muru odgradzającego ich posesję od napływającej wody, przez co została ona skierowana na drogę prowadzącą na łąki. Wiosną droga stała się tak błotnista, że nawet nawiezienie przez klan Mocarskich piasku niewiele pomogło. Wacław i Jan postanowili więc wykopać rów na łące Śliwów, by odwodnić przejazd na pastwiska. Akcję zaplanowali na 4 kwietnia. Ledwo jednak wbili łopaty w ziemię, zostali zza przeciwwodnego muru dostrzeżeni przez Jadwigę Śliwę i jej teściową, Leokadię. Kobiety — jak ustalił sąd — również chwyciły łopaty i przeskoczyły ogrodzenie. Zjawili się świadkowie: Janina Żebrowska i Adolf Śliwa, mąż Leokadii, który krzyknął do Wacka, żeby wracał do domu gotować zupę fasolową. Obserwatorka Żebrowska twierdziła, że to właśnie najbardziej rozeźliło Mocarskiego. Na każdą aluzję do fasoli, którą jakoby miał ukraść Śliwie, reaguje on bardzo nerwowo. To spotkanie zakończyło się wymianą ciosów łopatami. Kobiety sprecyzowały Wysokiemu Sądowi, które fragmenty ich ciał ucierpiały od trzonka, a które od części metalowej. Mężczyźni wyparli się bicia. Mocarski utrzymywał, że kobiety rozwinęły akcję zaczepną, a Jadwiga zaatakowała go łopatą. Sąd ukarał mężczyzn grzywnami po 20 tysięcy złotych.

Nie ostudziło to bynajmniej temperamentów. Bójką zakończyła się próba udowodnienia Władysławowi Śliwie przez Wacława Mocarskiego, że rowek melioracyjny, choć dziś zamaskowany, zawsze istniał na łąkach Śliwów. Mocarski triumfalnie odgarnął ułożone na rowku kępy świeżej trawy. Żałował potem tylko, że od razu wymierzył Śliwie za to kłamliwe chamstwo sprawiedliwość, bo w sądzie wypadł mniej korzystnie.

We wsi niejeden miał raptusowi za złe jego uczynki lub odzywki, jak ta, którą się popisał onegdaj przed redaktorem: *„Szkoda, że nie są to wojenne czasy, bo walnąłbym w tę bandę choć ze dwa granaty i na zawsze byłby w naszej wiosce spokój".* — A przecież — oburza się jeden z Żebrowskich — we wsi są trzy partie, w tym jedna banda, czyli Wacek i Janek, karani za bójki i chuligaństwo.

Mocarski nigdy nie dbał o dobrą opinię i mir u ludzi. Gardłował słusznie czy niesłusznie, zakładając, że zawsze znajdzie się ktoś niezadowolony, kto go poprze. Raz tylko zrobił z siebie pośmiewisko, gdy próbował zwalić Bożenę Łącką z funkcji zlewniarki. Jego kandydat podczas zebrania zrezygnował z walki wyborczej, a wszyscy domyślali się, że Łąckiej Wacek ma głównie za złe to, iż jest... córką Heńka Zawadzkiego.

W ostatnich zajściach też nie zawiniły psy i gęsi. Wacka drażni przede wszystkim sam Heniek. Uczucie wzajemnej niechęci jest stałe i ma swój historyczny wymiar. W latach siedemdziesiątych Mocarskiego i starszego od niego o ponad 10 lat Zawadzkiego zbliżyła wspólna praca przy konserwacji rowów melioracyjnych. Szybko też ich rozdzieliła, gdyż jeden krytycznie oceniał robotę drugiego. Przy wypłacie zawsze jednak wygrywał Heniek.

— Harmonię pieniędzy zgarnianierób za dzieciaki — zżymał się kawaler na ojca obarczonego dziewięciorgiem dzieci i żoną. Wkrótce te dzieci pomagały Heńkowi w polu. Teraz dwie córki Zawadzkiego siedzą w Ameryce i podsyłają mu dolary. Aż przykro Wackowi patrzeć, jak ta bieda-nędza spaniała. Okiem nie mrugnie, 5 patyków zapłaci, a psa nie uwiąże...

Na wynik ostatniej próby sił czeka równie niecierpliwie Zawadzki, co Mocarski. Dwa-trzy razy w tygodniu któryś z nich decyduje się jechać z wizytą do prokuratora. Wtedy drugi — bezbłędnie wyczuwając intencje przeciwnika — podąża jego śladem. Obserwuje zza węgła, kiedy z tamtym skończą rozmowę, i wślizgują się tuż za nim.

Komendant posterunku też się niecierpliwi. Chociaż dochodzenie zostało przeprowadzone bardzo skrupulatnie i z uwzględnieniem specyfiki wsi, skargi nie ustają. Zawadzki ma do niego pretensje, że nie przymyka Mocarskiego („Wacek jest bezkarny — uważa — bo ma szwagra radnego WURN-u"), Mocarski zaś pomawia komendanta o przymykanie oczu na wybryki Zawadzkiego.

Sierżant Ostrowski sądzi, że prokurator umorzy sprawę. Wtedy on sprawiedliwie rozdzieli wnioski do kolegium: o ukaranie Mocarskiego za znęcanie się nad zwierzęciem, a Zawadzkiego — za prowadzenie ciągnika bez prawa jazdy i nieuiszczenie podatku od kupionej maszyny rolniczej. Komendant zapewnia bezkrwawy przebieg wszystkich wiejskich zebrań i musi dbać o swój nieposzlakowany autorytet.

— Od igły do wideł — przyznaje sołtys — droga u nas krótka. Chociaż ostatnio już się zdawało, że będzie we wsi spokój. Janek Mieczyński pobudował się w mieście i Wacek straci prawdopodobnie najwierniejszego sojusznika. Jeden z trzech Staśków Żebrowskich, zwany „pisarzem", przestał oczerniać wieś i gminę w województwie i Warszawie: wracał wieczorem do domu i ktoś fest go pobił. Dochodzenie zamknięto, bo dowodu nie było, same podejrzenia. Ale zdrowie chłop stracił i smak do pisania. Nikt nie ma teraz pretensji do zlewniarki. Zenobia ma wprawdzie piasek w rękawach, ale nikomu nie sprzyja. Dla każdego tak samo zła, czyli dla ogółu dobra.

A jednak ostatniej soboty Władek Śliwa z pomocą zięcia obili kijami Staśka Żebrowskiego!

— Jakby się nie darli, toby pomarli — babcia Dmochowa śmieje się, zadowolona ze swego spostrzeżenia.

— Wszystko przez zawiść — uważa sołtys. — Dziadkowie żyli zgodnie, bo biedę dzieli równo. Ojcom naszym zostawili jednakowe strzechy i nadwątlone płoty. A teraz w niektórych zagrodach wyrosły murowane zabudowania. Jeden drugiemu zazdrości ciągnika, cielaka, nowej pierzyny. Ale jeden haruje od świtu do nocy, drugi chodzi spać z kurami, trzeciego wspomaga delegat rodzinny w Ameryce. Równości tu już nie będzie. Mam zamiar dać im zajęcie: 40 lat czekali, że ktoś tu przyjdzie i darmo zbuduje nam drogę, więc postanowiłem, że czynowo zrobimy ją sami. Tylko tych zwaśnionych tak będę musiał pokrzyżować, żeby się szpadlami przy robocie nie zahaczyli.

Antonina Kulikowska twierdzi, że nowy sołtys ma największe szanse na wprowadzenie zgody: — On jest blisko skoligacony ze wszystkimi obozami, z nikim we wsi nie zadarł. No, przynajmniej na razie.

Wszystkie nazwiska zostały zmienione.

spięcia

Dwa tygodnie po referendum solidna tablica, przytwierdzona do remizy OSP w Przytułach, informuje, że w gmachu tym znajduje się komisja obwodowa. „Demokracja nieustająca" w Przytułach przekształci się w „demokrację ateńską" po śniadaniu wielkanocnym, kiedy to obywatele zaopatrzą się w niezbędną ilość s k o r u p e k.

★

Na paczkach mebli importowanych z ZSRR, które trafiły do magazynów Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni w Łomży, odczytaliśmy — rzucający się w oczy — napis: „Nie kantować!" No, proszę, wcale nie jesteśmy zadupiem. Z n a j ą n a s!

★

Wpłaty w banku PKO SA w Łomży nie może dokonać nawet osoba upoważniona do wypłaty, lecz wyłącznie właściciel konta. O s o b i ś c i e.

★

Pod koniec lata reporter „Kontaktów" odkrył w uroczym Nowogrodzie kilkanaście domków campingowych, z których kilka, aczkolwiek kompletnie wyposażonych (nawet w czystą bieliznę pościelową), w czasie kanikuły w ogóle nie było wykorzystanych, a parę innych wyglądało jak po przejściu tajfunu w porze monsunowej. Władze miasteczka postanowiły więc odszukać ich właścicieli. Udało im się to, niestety, tylko częściowo. „Do najbardziej zniszczonych domków — poinformowała redakcję pani sekretarz UMiG — nikt się nie przyznaje". I pomyśleć, że jest w kraju e l e m e n t, który świeci nam w oczy Ameryką, a tam stać ludzi tylko na porzucanie zniszczonych samochodów.

★

Skraca się długość życia Polaków. Głównym naszym „zabójcą" jest zatrucie środowiska; aż 35 proc. obywateli PRL zamieszkuje tzw. obszary zagrożenia ekologicznego. W Łomżyńskiem nie ma hut, kopalń ani cementowni, więc na przeróżnych naradach miejscowi soliści czasami fałszywie basują „Hej, panowie gospodarze, już dziesiąta na zegarze"; wystarczy jednak przejść się do pierwszego lepszego lasu-śmietnika, by zauważyć, że i u nas „za pięć d w u n a s t a".

★

Wzorem wielkich światowych magazynów — „Spięcia" postanowiły Anno Domini 1987 zakończyć wyborem najgorzej ubranej obywatelki i najlepiej ubranego obywatela przepięknej ziemi łomżyńskiej. Starannie dobrane, jednoosobowe jury, po długiej i burzliwej chwilami, acz w pełni demokratycznej debacie, bezwzględną większością głosu za najgorzej ubraną kobietę w roku 1987 uznało ex aequo panie X, Y, Z, pracujące (nazwiska zbyteczne, wszyscy wiedzą o kogo chodzi), natomiast za najlepiej ubranych mężczyzn (także ex aequo) — „małego" prezydenta Łomży, Marka Humeńczuka, zastępcę szefa WUSW, Jerzego Panasewicza oraz energicznego wojewodę, Marka Strzalińskiego. Uzasadnienie werdyktu: tak jury kraje, jak mu w ł a d z a d a j e.

★

Nagrodę 500 złotych za najlepszy sygnał tygodnia „To się nadaje do «Spięć»" tym razem kierujemy na przelew w restauracji „Satyr" w Łomży, w której odbędzie się uroczyste podsumowanie konkursu elegancji.

W STARYM ZAMKU

Wieczór był dżdżysty i ponury. Klęliśmy, że akurat taka wstrętna pogoda musiała przydarzyć się w czasie naszego dyżuru. Do północy pozostawało jeszcze kilka godzin, trzeba było je czymś wypełnić.

Antoni wyciągnął karty. Zaczęliśmy grać w brydża, ale co to za gra, kiedy wszystkie karty są znane? I gdy Zygmunt zalicytował szlemika, natychmiast odpowiedziałem mu: „kontra", z góry wiedząc, że będzie leżał bez trzech. Sytuacja powtórzyła się, gdy ja zalicytowałem cztery piki. Zygmunt skontrował, bo był pewien, że zrobię tylko dwa. Oczywiście ja też nie miałem wątpliwości co do tego, że będzie leżańsk.

Brydż, jak należało się spodziewać, znudził nas więc szybko. Jerzy zaproponował salonowca. Grzmociliśmy się, ile wlezie, ale nikogo ani trochę nie bolało, a jeśli nie czuliśmy uderzeń, nie wiedzieliśmy nawet, kiedy należy czyjeś imię wypowiedzieć. To znaczy domyślaliśmy się tego, ale zabawy i tak żadnej nie było.

Zygmunt miał kilka butelek czystej. Wypiliśmy je, bardziej i przyzwyczajenia niż z ochoty. Oczywiście nic nie poczuliśmy. Wódka nijak nie chciała do nas przylegać. I to było chyba najsmutniejsze w naszym położeniu.

Nie wiem, kto wpadł na pomysł, aby wywoływać ludzi. Owszem, w tym zamku na warunki nie można było narzekać. Znalazł się odpowiedni stolik, spodeczek. Udaliśmy, że dotykamy siebie rękoma, ale prawdę mówiąc, nie bardzo wierzyliśmy w to całe przedsięwzięcie. Toteż niepomiernie zdziwiliśmy się, kiedy stanął przed nami zasuszony kamerdyner i zapytał: — Panowie mnie wzywali? Służę uprzejmie. Co podać?

Przez chwilę odebrało nam mowę. Antoni najszybciej odzyskał zimną krew, bo powiedział: — Syfon z wodą sodową. Ale zimną!

— Czym chata bogata...

Po chwili syfon i cztery szklanki znalazły się na stole.

— Pan tutaj już długo pracuje?

— Antoni usiłował nawiązać rozmowę.

— Bardzo długo.

Nie, kamerdyner nie należał do krasomówców.

— A pani już śpi? — Zygmunt, jak zwykle, interesował się kobietami.

— Ogląda telewizję. Poprosić?

— Nie, dziękujemy.

Ale to powiedział Antoni, bo Zygmunt dalej był nieustępliwy.

— Pani ma dużo lat?

— Owszem. Ale panowie pozwolą, że w tym względzie zachowam dyskrecję.

Zrozumieliśmy go. Prawdziwy dżentelmen.

Zygmunt umilkł, ale na konwersację zebrało się Jerzemu. Z nudów chyba.

— Jesteśmy nieproszonymi gośćmi. Dlaczego nas pan właściwie nie wyrzuci?

— Wyrzucić? Dlaczego wyrzucić? Ja zawsze popieram młodych, a poza tym od lat obiecują mi, że przejdę na emeryturę. Myślę, że właśnie teraz nadarzyła się okazja. Ja już tu, panowie, straszę od 150 lat. Słowo daję, że mam dosyć...

Spuściliśmy nosy na kwintę, białe szaty opadły z nas niemal zupełnie. Czy i nam każą straszyć przez 150 lat? Czy aż tak bardzo grzeszyliśmy na ziemi?

Zegar w starym zamku wybił północ. Musieliśmy się zabrać do pracy. A kamerdyner spokojnie zasiadł przy kominku. Nareszcie mógł odpocząć. Głupio nam tylko było, żeśmy od razu nie poznali, że on z naszej branży. Ale teraz duchy chodzą jak ludzie, a ludzie jak duchy. I coraz trudniej przywołać człowieka. Dlatego nasz numer ze spodeczkiem nie wyszedł...

MAREK ADAM JAWORSKI

opowieść niekoniecznie wigilijna

Tradycyjnie na wigilijnym stole jedno nakrycie przeznaczamy dla niespodziewanego gościa: kogoś samotnego, zabłąkanego podróżnika... W ten wieczór serdeczną myślą łączymy się też z tymi, „co na morzu", a w Łomżyńskiem teraz — częściej z tymi, „co za oceanem".

Ubiegłoroczna Wigilia była dla pani Czesławy drugą z rzędu spędzoną bez męża. Obiecywał, że wróci ze Stanów na następną, ale radość skutecznie przesłaniała perspektywa 360 dni jego nieobecności, na co dzień jeszcze dotkliwiej odczuwanej niż w święta.

Trudno powiedzieć, czy swą nostalgię wyrażała w listach do męża dość jasno, z pewnością jednak nic nie wskazywało na to, by pan Jan zastanawiał się nad powrotem. Być może jego uczucie do 55-letniej żony przygłuszyła fascynacja Nowym Swiatem, a może zaślepiła typowa dość miłość do dolara.

Jeszcze w karnawale pani Czesława z półlitrówką „pewexowskiej" wódki udała się do młodszej o 18 lat przyjaciółki Leokadii. Zaliła się, jak ciężko żyć bez męskiego wsparcia, szczególnie gdy pod rodzinnym dachem jest i gwarno, i swarno, a do pracy na ponad 20-hektarowej gospodarce nie ma chętnych. Córka Bożena jest położną w mieście, syn Waldek — przewodniczącym Zarządu Gminnego ZSMP. Uważają, że nie po to kończyli szkoły, żeby tyrać na ziemi. Halina zaś, od kiedy jej mąż, Zdzisiek, pojechał do Stanów na załatwioną przez męża robotę, zrobiła się nieznośnie kłótliwa, nawet się kiedyś pobiły...

Leokadii nie trzeba było przekonywać, że Halina ma paskudny charakter: to ona przecież rzuciła na nią podejrzenie o kradzież obrączek ślubnych. Spowodowało to zerwanie bliskich stosunków między zaprzyjaźnionymi domami. Czesława jednak wpadała czasem do Leokadii, czym narażała się córce. Przyjaźnie czasem jednak wymagają takich poświęceń.

W miarę opróżnienia butelki wzrastał poziom szczerości i goryczy. Pojawiły się też rozważania natury generalnej, równie pesymistyczne, niestety. Obie panie słyszały sporo o łajdactwach męsko-damskich w USA, że niejednemu się od nich w głowie przewraca i nie ma ochoty wracać do żony. Czesława uważała, że najlepiej nieszczęściu zaradzić w czas i natychmiast ściągnąć męża w domowe pielesze. Najskuteczniejszym sposobem wydało się jej uśmiercenie połowy rodziny, oczywiście — fikcyjne. Nie ośmieliła się jednak wystawić na próbę małżeńskich uczuć męża; ojcowskie wydawały się jej pewniejsze. Liczyła też na prawidłową reakcję zięcia Zdzisława na wieść o nieszczęściu jego „połowy".

Leokadia zgodziła się na wyprawę do Zambrowa, gdzie jej twarz nie była znana, i nadanie stamtąd depeszy. Jej treść wypracowały wspólnie. Stanowiła ona niewątpliwie bolesny cios dla pana Jana, który 4 lutego czytał: „Janek i Zdzisiek przejeżdżajcie na pogrzeb. Halinka, Monika i Waldek nie żyją. Mieli wypadek. Z pogrzebem będziemy czekać". Gdy adresaci nieco ochłonęli po szokującej wiadomości, zarezerwowali miejsca w najbliższym samolocie i spakowali walizki. Ponieważ jednak Ameryka to nie Polska, Zdzisław dodzwonił się przed wyjazdem do rodzinnej wsi. Rozmowa z — rzekomo nieżyjącą żoną — nie zmieniła jego decyzji o powrocie. Jego teść natomiast odetchnął z ulgą i... rozpakował walizki.

Przemyślny plan pani Czesławy obrócił się przeciw niej. Zanim w Warszawie wylądował samolot, we wsi mówiono już, że telegram wysłała Leokadia. Ta wyzwała Czesławę od chamek w przekonaniu, że zdradziła ją, by siebie chronić od podejrzeń. Po powrocie Zdzisława domowa pozycja Czesławy osłabła jeszcze bardziej. Leokadia, by ratować choć częściowo swój honor, wystąpiła przeciw Helenie i Zdziśkowi do sądu z żądaniem zadośćuczynienia za pomówienie o kradzież obrączek. Wtedy oni zrewanżowali się oficjalnym oskarżeniem Leokadii o wysłanie fałszywej depeszy, która spowodowała ogromne straty moralne i finansowe Jana i Zdzisława.

Niedawno prokurator warunkowo umorzył postępowanie przeciw Leokadii (z artykułu 265 § 1 k.k.) i wyznaczył roczny okres próby oraz grzywnę 15 tysięcy złotych na korzyść zambrowskiego Koła Inwalidów Wojennych. Wyraził też nadzieję, że niekarana dotąd rolniczka i matka trojga nieletnich dzieci nie wejdzie więcej w kolizję z prawem. Czesława ma natomiast nadzieję, że historia pójdzie w niepamięć, a mąż zjedzie na święta.

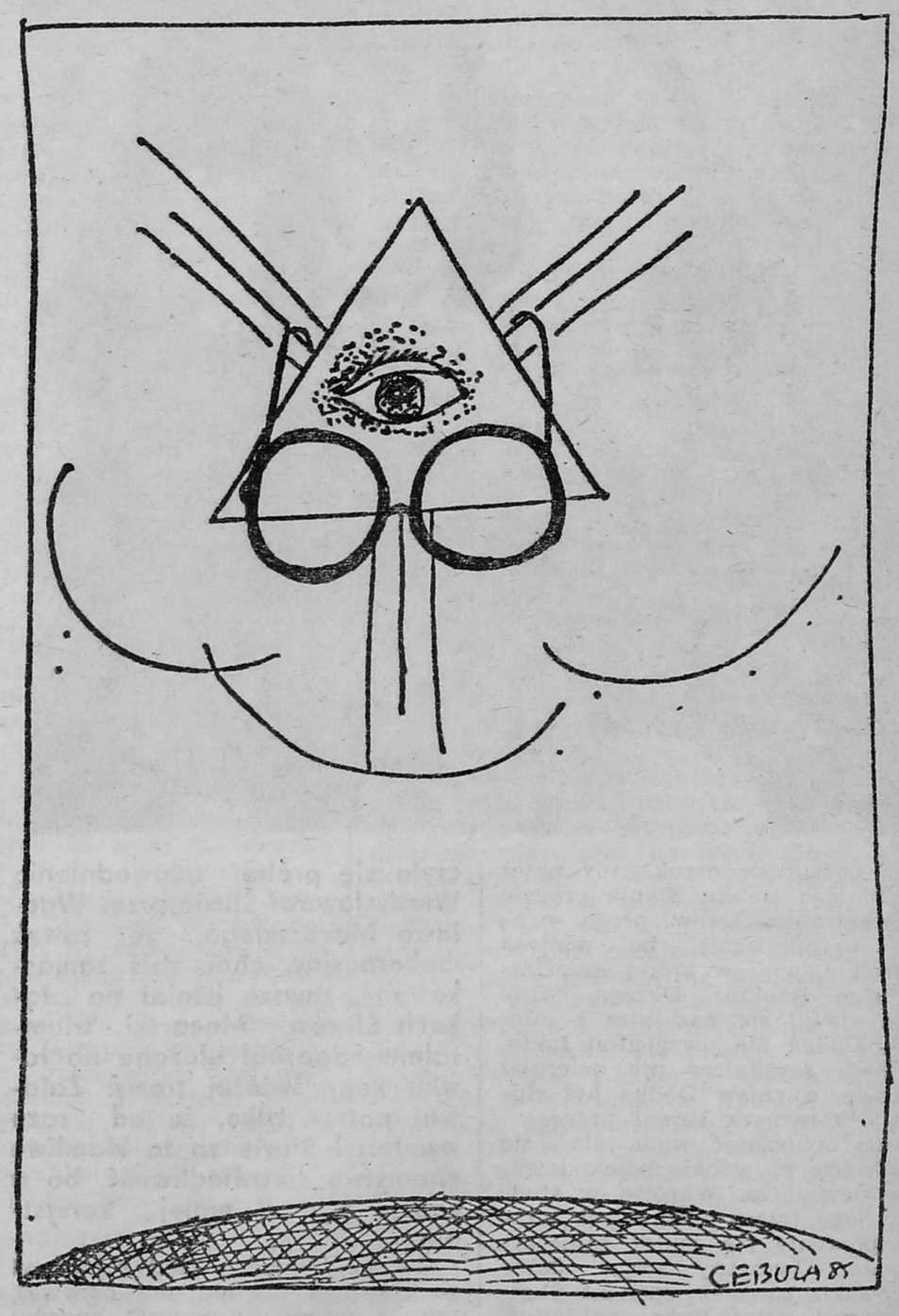

Zaprzeczenia Leokadii na nic się nie zdały: grafolog nie miał wątpliwości, że pismo na druczku telegramu wyszło spod jej ręki. Czesława do końca wypierała się swej inspiratorskiej roli. „Uważam — powiedziała nawet prokuratorowi — że byłby to czyn niemoralny, bo mąż ma słabe serce i mogłoby się to dla niego źle skończyć."

Na szczęście serce pana Janka wytrzymało i nadal mu służy przy pracowitym kolekcjonowaniu waluty. Czesława i Leokadia dostały się natomiast na języki całej okolicy.

Myślę, że podczas noworocznego toastu pani Czesława z panem Janem (a także setki innych małżeństw) powinni sobie winszować, by w Nowym Roku opatrzność ochroniła ich od tęsknoty, głupoty i nazbyt uczynnych przyjaciół.

KAROLINA

Rys. Henryka Cebuli

NARODZINY TEATRU

Nie będzie to teatr Jerzego Lamenty, choć wiąże z nim spełnienie swoich ambicji reżyserskich, ani Tomasza Brzezińskiego, mimo że to mistrz warsztatu lalkarskiego, ani nawet dyrektora Henryka Gały; będzie to teatr dzieci, bo one są widzami-artystami, twórcami wielkiego widowiska zabawek, którym inscenizują serie przygód. Ożywiają je wolą własnej wyobraźni i nieustannie marzą o prawdziwym tchnieniu w nie ducha, aby czynnie uczestniczyły w akcjach, a przede wszystkim — przemówiły.

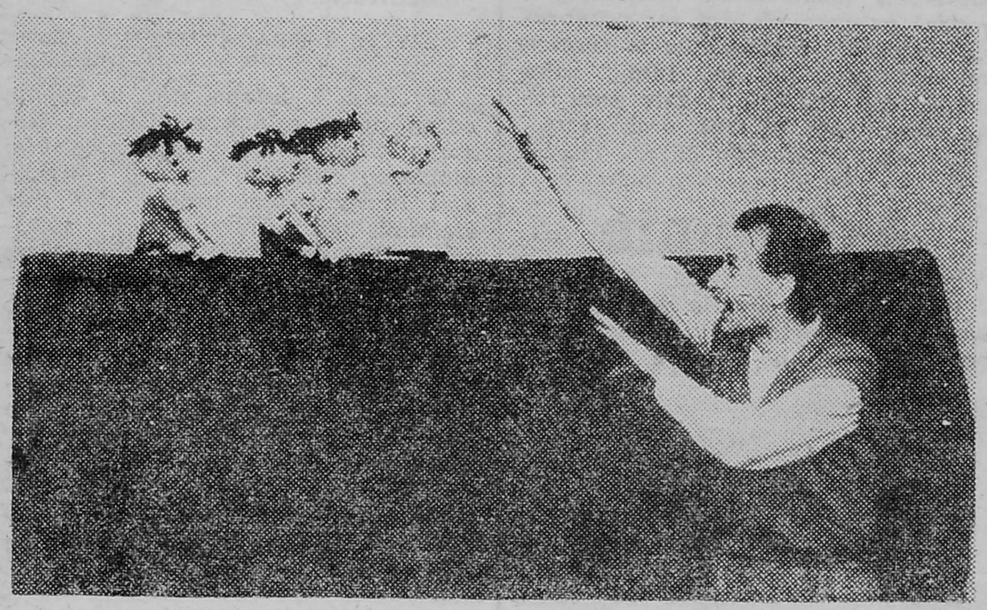

Scena lalkowa — teatr sztuki plastycznej czy też formy ożywionej — te ich marzenia w wielkim stopniu realizuje; nie w pełni jednak, ponieważ nie one są reżyserami zabawy.

„Chodzi lalkarz światem,
serce ma rogate,
chodzi z wiatrem, pluchą,
z lalką za pazuchą."

Tak brzmiał w roku 1949 hymn twórców teatru „Niebieskie Migdały" — Adama Kiliana i Jana Wilkowskiego, a dziś pasowałby jak ulał do sytuacji Państwowego Teatru Lalek w Łomży, który także nie ma stałej siedziby (gnieździ się w dwu pokojach Wojewódzkiego Domu Kultury, a w piwnicy ma wątłe zaplecze) i przyjdzie mu zadebiutować nieoficjalnie (22 XII), po czym wystawić przedstawienie premierowe (styczeń 1988) w pokoju prób, gdzie wciśnie się najwyżej 70 osób, bowiem WDK włączyło się do adaptacji sali kinowej z własnymi pomysłami, dzięki czemu będzie ona gotowa o parę miesięcy później.

Oczywiście, ta świadomość męczy „dusze" lalek, czyli aktorów, podobnie jak konieczność ich zbiorowego zakwaterowania. Nie wydaje się też optymistyczna dyrektorowi.

Zapazuchowego pochodzenia są na razie wszystkie lalki Teatru, bowiem przyjechały z Tomaszem Brzezińskim z Zielonej Góry, gdzie dyrektorował on Scenie Lalkowej Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego, a do inscenizacji wierszy Brzechwy — z Białegostoku (wraz z dekoracjami i muzyką na taśmie). Białostocki spektakl ogromnie podobał się nie tylko dzieciom, ale i jury Festiwalu Teatrów Lalkowych, które przyznało mu wyróżnienie.

No, co tu kryć, narratorzy-krasnale są nieco sfatygowani, ale przecież po kilku zabiegach higienicznych i otrzymaniu nowych szatek od Ireny Gałowej będą jak nowi. Doświadczenia scenicznego nikt im jednak nie odbierze!

Teraz mają zadanie mocno odpowiedzialne: to one właśnie obwieszczą światu narodziny nowego teatru. Więc drżą z tremy, bo choć teksty Brzechwy „mówią się same" i muzyka jest wspaniała, martwią się, czy uda im się wcielić w nowe osobowości i czy odczytają każdą intencję młodych rąk. Trudno tego nie zrozumieć: oto stare wygi sceniczne mają trzymać „dusze" adeptek. Jedna z nich — Dorota Sobicka — przyjechała z Zielonej Góry tuż po zdaniu egzaminu komisyjnego po kursie przygotowawczym. Druga, Bogumiła Wierzchowska, została wyłowiona przez dyr. Gałę spośród wykonawców uświetniających w Łomży tegoroczny Dzień Dziecka. Właśnie Tomasz Brzeziński, także specjalista ds. techniki i technologii, podniósł jej wzrost o wysokie kontury z drzewa balsy (szewc powiedział, że tego się nie da zrobić), aby jej krasnal mógł także zaprezentować się w całej krasie. Obie panie (dziewczyny właściwie) są z wykształcenia nauczycielkami i w Teatrze łomżyńskim zamierzają uzyskać dyplomy aktorskie.

Widziałam próbę, znam kunszt aktorski i pedagogiczny Tomasza Brzezińskiego, więc o premierę jestem spokojna, ale co może wymyśleć taki krasnal (nie mówiąc o biedronce czy kokoszce-smakoszce), tego nikt nie wie.

Nie wiadomo także, co knują w magazynku ewentualni bohaterowie kolejnych spektakli, przywiezieni wraz ze scenografią przez pana Tomasza: „Tymoteusz Rymcimci" (dzieło Wilkowskiego, Kiliana i Dobrzańskiego), „Kasia, co gąski zgubiła" (Kownackiej, Gąsowskiego i Czarneckiego), „Dziad Wszystkozjad" (Antona Hirsza, w tłumaczeniu Zenobii Dębińskiej, w scenografii Aleksandry Fichny-Chechłowskiej, z muzyką Jerzego Dałgiera, w aranżacji Wiktora Sędzińskiego).

To persony z repertuaru klasycznego, wypróbowanego, nie wymagającego dużej obsady, czyli w sam raz nadającego się do teatru zaczynającego pracę, a dysponującego trójką aktorów (Brzeziński, Lamenta, Lena Włottkowska, która przyszła z Torunia) i dwójką adeptów. Tomasz Brzeziński także wypróbował go w Zielonej Górze przy udziale Jerzego Lamenty, którego „odkrył" za inspicjenckim pulpitem. To niechybnie musiało kiedyś nastąpić, ponieważ pan Jerzy od dzieciństwa miał sentyment do lalki i kiedy tylko zdarzyła się możliwość — założył kukiełkowy teatr amatorski, który (mimo że jego twórca przeszedł na profesjonalizm przed 13 laty) działa do dziś.

Dyr. Henryk Gała chciałby doedukować i zadowolić wszystkie grupy wiekowe dziatwy, a pan Tomek myśli wciąż o widowni najmłodszej, która z pewnością zachwyci się „Tygrysiątkiem", słoniątkiem i łaciatą krową z lalką poruszaną wprost, jak w zabawie dzieci. Z żadnej z technik nie zamierza rezygnować, choć na razie mają tylko pacynki, kukiełki i „adasiówki". Ten wynalazek Adama Kiliana demonstruje mi z dużym misiem, który wdzięczy się w jego rękach uroczo. No, a kiedy publiczność dojrzeje nieco i oswoi się z teatrem sztuki plastycznej, zaś dyrektor nie będzie miał nic przeciwko temu, wówczas może uda się — dla widowni starszej — zrobić coś w trudniejszej konwencji.

Planów i zapału, jak widać, dostatek, ale trzeba się liczyć z realiami. Łomża jest małym miastem; ileż może „wchłonąć" przedstawień? Dlatego w programie Teatru jest ich rocznie 160 — łącznie z objazdami, a to oznacza ograniczenie ambicji i... zarobków aktorów.

Pełne oprzyrządowanie elektryczne do cięcia, skrawania, szlifowania i przewiercania zostało nabyte. Trzeba się tylko starać o tworzywo lalkowe i scenograficzne. Na szczęście nie brakuje życzliwych dla sztuki dyrektorów i prezesów, którzy odstępują chętnie ścinki tkanin, tektury czy styropianu, przez co los pionierów teatru w dziewiczej okolicy staje się o wiele łatwiejszy. A i rzemieślnicy łomżyńscy nie odmawiają cennej pomocy.

Irena Gałowa szlifuje namiętnie bułę styropianu, z której wyłania się wielkie białe jajo. Z pewnością nie będzie to po Mrożkowsku indycza zagwozdka, z której miałoby się wykluć niewiadome. Życzę Teatrowi, aby i ono (jako mądrzejsze od kury) wespół z całym zespołem i pozostałymi rekwizytami — walnie przyczyniło się do odniesienia sukcesu.

STEFANIA HENCZELOWA

przezornie ubezpieczaj się

gwiazdka

Ze zbliżaniem się Świąt Bożego Narodzenia bezrobotni znaleźli zajęcie przy sprzedaży choinek, których zapotrzebowanie w tym roku było bardzo duże.

Zbiorowe choinki urządziły wszystkie Zakłady Opieki Społecznej i organizacje. Najliczniejsza „choinka" odbyła się jak zwykle w Domu Ludowym (400 dzieci z rodzicami); najmilsza i pomysłowo urządzona — w Przychodni Przeciwgruźliczej. Już nie mówiąc o nadzwyczaj harmonijnym stosunku dzieci żydowskich i chrześcijańskich. Święty Mikołaj, przed rozdaniem upominków świątecznych, wytknął każdemu dziecku wszystkie jego wady i nakazał poprawę.

„WSPÓLNA PRACA" nr 1 z 1930 r.

Towarzystwo Opieki Społecznej „Przystań" w Grajewie stale przejawia dobroczynną swą akcję na terenie powiatu.[...]

W wigilię Bożego Narodzenia, 24 XII 1930 r., dzięki staraniom p. Starosty Erazma Stefanusa, Prezesa Przystani p. D-ra Sienkiewicza i Prezesa Opiek Szkolnych p. Jana Glapińskiego w lokalu Szkoły Powszechnej nr 1 przy czynnym udziale Opiek Szkolnych i Nauczycielstwa zostały wydane wszystkim niezamożnym dzieciom podarunki świąteczne w formie najbardziej pożądanej. Każde dziecko otrzymało kilogramową bułkę i pół kilograma kiełbasy. W ten sposób zostało obdarzonych 400 dzieci.

Dary były wydawane nie rodzicom, lecz dzieciom, toteż przez miasto ciągnęły sznury dzieci z kiełbasą i bułkami, cieszące się, że święta nie będą głodne.

„WSPÓLNA PRACA" nr 1—2 z 1931 r.

Dnia 25 XII 1930 r. o godzinie 12 urządzona była w lokalu Szkoły Powszechnej nr 1 przy ulicy Rybaki choinka dla 400 najbiedniejszych dzieci miasta Łomży w wieku od lat 4 do lat 10.

Przy udekorowanej i oświetlonej choince została odegrana przez dzieci Schroniska Św. Józefa komedyjka pt. „Św. Mikołaj w mieście", wypowiedziana deklamacja krasnoludka, wykonany taniec 4 par krakowiaków. Na zakończenie Św. Mikołaj przemawiał do dziatwy, strofował ją, przypominając zasady higieny, zachęcając do pilności w naukach, poczem rozdał przygotowane dary w postaci strucli, torebek z łakociami i pary zarękawków wełnianych. Wreszcie zaśpiewano chórem kolędę i z wesołym śmiechem dzieci odeszły do domu.

„PRZEGLĄD ŁOMŻYŃSKI" nr 4 z 1931 r.

Dnia 1 stycznia 1931 r. urządzona została choinka w Poradni Przeciwalergicznej dla 80 dzieci, leczonych w Poradni. Zgromadzone dzieci bawiły się wesoło przy bogato udekorowanej i rzęsiście oświetlonej choince. Następnie odbyło się przedstawienie „Dzieci — dzieciom". Św. Mikołaj rozdał podarunki w postaci paczki z łakociami i kawałka mydła. Na zakończenie odśpiewano kolędy.

„PRZEGLĄD ŁOMŻYŃSKI" nr 4 z 1931 r.

kreacje

Obecnie kapelusze są właściwie czapeczkami z rondkiem odwiniętym nad oczyma lub też wysoko umieszczonym u góry główki, bądź też zaznaczonym jednym zębem odgiętym. Rondka, a czasem i całe czapeczki, robią z lamy jednolitej lub z materiału i wtenczas naszywają wąziutkimi wstążeczkami, przetykanymi złotemi i srebrnemi nitkami. Przy wieczornym oświetleniu taka czapeczka mieni się wszystkiemi barwami tęczy i prześlicznie wygląda.

Co do klejnotów — to moda uznaje tylko mleczno-białe, a więc

PÓŁ WIEKU TEMU Z OKŁADEM

brylanty i perły, których prześliczne imitacje drożej kosztują od prawdziwych, a to zawdzięczając formie, którą nadają im na życzenia kapryśnych pań.

„ŻYCIE I PRACA" nr 62 z 1924 r.

Dodatki do sukien wieczorowych to złote i srebrne koronki, oszycia z piór strusich, lama w tym samym odcieniu i klamry ze sztucznych brylantów lub też brylanty rozsiane po całej sukni.

Teraz trochę o nóżkach. Pończoszka cieniutka w tonie sukni, a pantofelek... to istny cud bajkowy. To już nie dawny lakierek, a śliczny trzewiczek z lamy lub brokatu odpowiednio do sukni dobrany, lśniący srebrem lub złotem. Widuje się również i z kolorowego lakieru w tonie sukni lub z czarnego (wtedy jest jakby siatka z pasków), spięty na boku brylantową klamrą.

„ŻYCIE I PRACA" nr 8 z 1925 r.

Od dawna już moda, do sukien wieczorowych przystosowana, nie błyszczała tak świetnie, jak teraz, w czasach „oszczędnościowych" i trudnych.

Skromne futeraliki, których jedynym bogactwem były ładne ramiona kobiece, poszły w zapomnienie. Na ich miejsce przyszły bogate, zwiewne sukienki, z których najskromniejsza nie może się obyć bez haftów z perełek i paciorków lub bez falban z koronek tak zwanych „metalowych" ze złota lub srebra.

Krój tych sukien różni się właściwie niewiele od zeszłorocznych. Góra została bez zmiany, powyżej kolan tylko fałdy sukienki rozścielają się w duży cloche lub w wachlarze.

Materiałów różnorodność ogromna. Lamy i złotogłowie mniej nadające się do haftów, mniej będą w tym roku noszone, za to wszelkie inne jedwabne mogą być użyte na każdą suknię wieczorową, byle była modnie skrojona i haftem przybrana.

Hafty te rozmieszczane są różnie, zależnie od upodobania. Ładnie wygląda sukienka mająca całą górę zahaftowaną w gęsty deseń metalowymi paciorkami, tworzącymi rodzaj pancerzyka, dół zaś przybrany futrem. Do oszywania sukien najmodniejsze są w tym roku wszelkiego rodzaju frędzle jedwabne, metalowe, szklane oraz futra.

„ŻYCIE I PRACA" nr 1 z 1926 r.

balowanie

W „Mirage'u" trwała do rana zabawa maskaradowa. Towarzystwo było złożone nie tylko z chrześcijan, ale i licznej „mniejszości". Maseczki wysilały się na dowcipy i zagadki. Huczno było, gwarno, wiele obiecująco na rok nowy... wesela i rozpasania. Podobno były i „kawały", które jednak dzięki czujności policji nie przybrały realniejszych kształtów.

„ŻYCIE I PRACA" nr 2 z 1925 r.

Patrząc na tańce nowoczesne doznaje się dziwnie przykrego wrażenia, mianowicie zdaje mi się, że znajduję się w jakimś kabarecie lub innym „dancingu", a to z powodu tych nowomodnych „fox-trotów", „tang", „schimmi", „one-step'ów" itp., które są zupełnie pozbawione wszelkiej estetyczności, a tylko dominują w nich jakieś wyuzdane ruchy, wywierające na widzu bardzo ujemne wrażenie, które potęguje się jeszcze na wpół rozebranymi (jak sobór na placu Saskim w Warszawie) tancerkami.

Dziwię się, dlaczego mamy ślepo naśladować dancingującą zagranicę, czy to nie stać nas na swoje tańce: polonezy, polki, krakowiaki i te porywające, pełne życia i werwy mazury, których i zagranica może nam pozazdrościć.

„ŻYCIE I PRACA" nr 10 z 1925 r.

W dniu 7 lutego r.b. w sobotę odbył się w salach miejscowej Resursy Obywatelskiej „Bal Polskiej Macierzy Szkolnej", który zgromadził liczne grono osób ze sfer ziemiańskich i inteligencji miejskiej. Pod dzielnem kierownictwem p. Tadeusza Pieńkowskiego z Truszek bawiono się wśród miłego nastroju do rana. Na szczególnie uznanie zasługuje okoliczność, że przy tańcach tak zwanych „nowoczesnych" nie zapomniano i o staropolskim oberku, i „ognistym" mazurze, parokrotnie z nadzwyczajną werwą tańczonych, a zaaranżowana w końcu zabawy polka „ojra" wywołała powszechną wrzawę i wesołość.

Oprócz miłej zabawy, bal dał i realny wynik w postaci 304 zł czystego dochodu na akcję kulturalno-oświatową Macierzy Szkolnej.

„ŻYCIE I PRACA" nr 14 z 1925 r.

Odbyły się dwa większe bale maskowe: w dniu 1 lutego w kinematografie „Miraż", na walkę z gruźlicą, i w dniu 4 lutego u wioślarzy. Na balu wioślarskim wyróżnił się pomysłowością kostjum przedstawiający Kasę Chorych, utrzymany w dobrym tonie, a pomimo to dowcipny. Nagrodę otrzymał efektownie wykonany kostjum papugi.

„WSPÓLNA PRACA" nr 1 z 1928 r.

Nowy Rok w samej Łomży spotykano, nie licząc restauracji, w dziewięciu miejscach. Najliczniej spotykano w Domu Ludowym, najbardziej nastrojowo w Towarzystwie Wioślarskim.

Resursa Żydowska urozmaiciła spotkanie Nowego Roku przez zaangażowanie Zespołu Rewjowego „Gilaryno" z Białegostoku, który wykonał cały szereg pięknych numerów rewjowych, bawiąc swą werwą i humorem licznie zebraną publiczność.

„WSPÓLNA PRACA" nr 1 z 1930 r.

Bal miasta Zambrowa, o którym pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów naszego pisma, urządzony dnia 9 b.m. przyniósł 345 zł dochodu brutto, z którego czysty zysk po pokryciu kosztów, wynoszących 175 zł 10 gr — został przekazany na rzecz funduszu bezrobotnych miasta Zambrowa w kwocie 169 zł 90 gr.

„PRZEGLĄD ŁOMŻYŃSKI" nr 4 z 1932 r.

Z DYSKURSÓW BALOWYCH

Czemu to, kolego,
Mówiąc między nami,
Tańczysz wciąż z samemi
Staremi pannami?

Ach, wiedzże, mój drogi,
Że powód nie inny,
Jak ten, że dziś właśnie
Jest bal dobroczynny!

„ŻYCIE I PRACA" nr 7 z 1926 r.

NABYCIE WPRAWY

Żona tańczy z mężem (czasem i to się zdarza):

— Wiesz, nabyłeś wprawy w tańcu: dawniej zawsze obrywałeś mi suknie.

— Bo dawniej nie płaciłem za nie...

„ŻYCIE I PRACA" nr 13 z 1925 r.

dokumenty

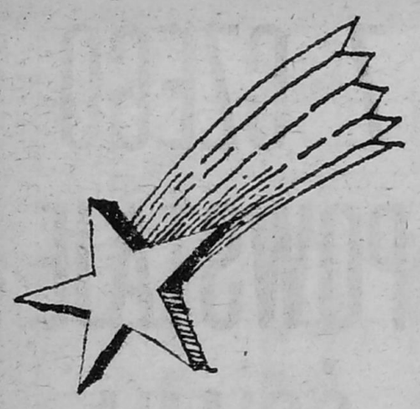

SZTUKA ŚWIĘTOWANIA

Boże Narodzenie, najpopularniejsze i chyba najintymniejsze z wielkich świąt chrześcijańskich, zostało oficjalnie uznane przez Rzym dopiero w IV wieku, ponieważ tkwiło zbyt wieloma korzeniami w prastarych pogańskich tradycjach. Zwłaszcza przypadające na ten czas przesilenie zimowe (najdłuższa noc — najkrótszy dzień) odgrywało wielką rolę w pogańskich wierzeniach i kultach. Nawet tak miły zwyczaj wzajemnego obdarowywania się w wieczór wigilijny sięga rzymskich saturnaliów.

Natomiast potrawy wigilijne (Polacy zawsze mieli skłonność do łączenia treści metafizycznych z kulinarną rzeczywistością) są dalekim echem uczt obrzędowych naszych przodków i przed wiekami przypisywano im magiczne właściwości. Jeszcze dzisiaj praktykuje się po wsiach zwyczaj dawania zwierzętom domowym po kawałeczku opłatka wigilijnego, co ma je chronić od chorób.

Trudno natomiast uwierzyć, że najmłodszą z tradycji związanych z Bożym Narodzeniem jest choinka. Pierwsza wzmianka o choince pochodzi z Alzacji z roku 1494. Do Polski choinki przybyły wraz z królami saskimi, więc dość późno, ale w Berlinie zielone drzewka zrobiły furorę dopiero w roku 1780.

Polskie Boże Narodzenie połączyło prastare tradycje pogańskie z ludowymi. Na wsi stawia się w kątach izby snopki, siano zaś pod obrusem spotyka się często także w miastach. (Zakochani wróżyli z siana o swej przyszłości: zielone źdźbło oznaczało rychły ślub, brązowe — staropanieństwo lub starokawalerstwo).

Natomiast słynna w całym świecie kuchnia staropolska roztaczała w wieczór wigilijny niebywały przepych postnych potraw. Oto menu Wigilii liczące sobie zaledwie 150 lat:

1. Wybór spośród trzech zup: barszczu z uszkami, migdałowej i głogowej.
2. Szczupak na szaro (w słodkim rodzynkowym sosie).
3. Szczupak na żółto (z sosem szafranowym).
4. Szczupak lub sądak (sandacz) na zimno.
5. Karp lub leszcz gotowany w sosie winnym.
6. Okonie z kartoflami.
7. Szczupak z chrzanem (gotowany w jarzynkach).
8. Jazgarze zapiekane z dodatkiem oliwy, piwa i imbiru.
9. Legumina sago (z sokiem malinowym).
10. Kapusta czerwona z kotletami z ryb.
11. Pieczyste z jesiotra z sałatą rozmaitą.
12. Ciasto rozmaite.

To jeszcze nie wszystko. Autor „Kucharki oszczędnej" dodaje, że na stole powinny być ustawione ponadto: zamiast deseru — groch z miodem, kompot na czerwonym winie z korzeniami, kisielek migdałowy, ryż z miodem, grzyby smażone z chrzanem, łamańce i kisielek kartoflany. Tak to rygorystycznie „pościli" nasi pradziadowie, świecąc przykładem bezbożnikom i innowiercom.

Również pieczywo Bożenarodzeniowe znacznie różniło się od wielkanocnego. Królowały miodowniki i pierniki; te ostatnie masami sprowadzane z Torunia bo toruńskie uchodziły za najlepsze w ówczesnym świecie. Wypiekano też słynne makowniki. Nie obeszło się bez bab, ale nie one były bohaterkami tych świąt.

W różnych dzielnicach Polski pojawiały się na wigilijnym stole regionalne specjały. Przodowała w tym szczególnie Litwa. Lecz ogólna zasada rygorystycznego postu obowiązywała na całym terenie Rzeczypospolitej. Potrawy pływały wprawdzie w maśle i oleju (u bogatych — w oliwie), lecz ani jedna kropla smalcu i ani jeden skwarek ze słoniny nie obciążył sumienia bogobojnych białogłów.

Przed Wigilią, do której zasiadali wszyscy domownicy (przeważnie ze służbą i czeladzią), dzielono się opłatkiem, składając sobie życzenia szczęścia, zdrowia i pomyślności. Staropolskie opłatki były kolorowe i ślicznie zdobione. Liczba biesiadników musiała być parzysta. Na stole stawiano jedno nakrycie dla nieobecnych (zmarłych).

Ale najpiękniejszym staropolskim zwyczajem, który należałoby wskrzesić i utrzymać, było zapraszanie na wieczerzę wigilijną osób samotnych.

Dziś jedynie choinka i miły zwyczaj wzajemnego obdarowywania się stanowią wspólny rekwizyt tych świąt na całym świecie. Nawet w Australii (Wigilia przypada tam w upały) zapala się na importowanej lub nylonowej choince świeczki i zajada ciężkie angielskie potrawy wigilijne.

Wigilijne zwyczaje kulinarne są na całym świecie różne. Polska należy do tych wyjątków krajów, w których dyscyplina postu przyczynia się do stworzenia prawdziwej sztuki kulinarnej. W wielu krajach indyk i gęś odgrywają na stole wigilijnym podobną rolę, co u nas karp i szczupak. We Francji deserem wigilijnym jest tort w formie przyciętej gałęzi, zwany Bûche de Noël, po pasterce zaś następuje finał kulinarny święta w postaci indyka nadziewanego słodkimi kasztanami. W Norwegii przed pasterką zjada się dorsza z wody, polanego masłem i posypanego pietruszką, po pasterce zaś zjawiają się na stole potrawy z wieprzowiny. Anglicy spożywają w ten wieczór indyka lub gęś, udziec barani i — wyjątkowo ciężko strawny — Christmas Pudding.

A oto menu świąteczne, jakie na 25 XII 1870 r. — w 99 dzień oblężenia Paryża — w restauracji „Voisin" przygotował Georges-Auguste Escoffier, który zrewolucjonizował kuchnię francuską:

Przystawki: masło, rzodkiewki, głowa osła faszerowana, sardynki.

Zupy: purée z czerwonej fasoli z grzankami, rosół z wielbłąda.

Dania drugie: smażone kiełbie, pieczeń wielbłądzia po angielsku, potrawka z kangura, żeberka niedźwiedzie w sosie pieprznym, udziec wilczy w sosie z sarny, zapiekanka z antylopy z truflami, borowiki po burgundzku.

Desery: ciasto ryżowe z konfiturami, sery.

ROZDZIAŁ I

LISTY Z TAMTEGO ŚWIATA

Łyżka potężnej koparki znieruchomiała w połowie drogi, zawieszona między niebem a ziemią. Kierowca wywrotki, wypełnionej do połowy zaledwie grudami zbrylonej ziemi, otworzył drzwi szoferki: — No, co jest?! — usiłował przekrzyczeć głuchy łoskot silnika.

Siedzący w kabinie operator uniósł do góry szeroko rozłożone ręce i ruchem głowy wskazał na coś, co widocznie miał przed sobą.

Kierowca odwrócił się. Między koparką a wywrotką, w pobliżu ściany wyrobiska, stała babcia Szemiotowa, osiemdziesięcioletnia staruszka. Znał ją z widzenia. Od tygodnia, to jest od momentu, kiedy zaczęli tutaj pracować, przychodziła codziennie. Stawała zwykle na kopczyku kamieni, w bezpiecznej odległości od koparki, nieruchoma jak posąg na cokole. Nie przeszkadzała nikomu, więc nikt nie zwracał na nią uwagi. Robotnicy wiedzieli, kim jest i co tutaj robi, toteż żaden z nich nie odważyłby się jej stąd przegonić. Jeszcze do niedawna babcia była właścicielką posesji, przez którą miała teraz przebiegać nowa ulica. Tutaj stał jej dom, znacznie starszy niż ona sama, a za nim, tam gdzie teraz pracowała koparka, rozciągał się ogród warzywny i sadek ocieniony rozłożystymi jabłoniami. Po budynku nie zostało już śladu, tak samo zresztą, jak i po sadzie, jeśli nie liczyć kilkunastu wykarczowanych pniaków, leżących obok wykopu z uniesionymi w górę, rozczapierzonymi korzeniami.

Kierowca zeskoczył na ziemię ze stopnia szoferki. Żal mu było staruszki. Też miał własny domek przy ulicy Generała Sikorskiego i tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczał fakt, że nie został on rozebrany.

— Babciu! — krzyknął podchodząc do wykopu. — Tu nie można, jeszcze wam coś na głowę spadnie!

Ale Szemiotowa zdawała się nie słyszeć. Niczym królik zahipnotyzowany przez węża wpatrywała się w jakiś punkt położony w głębi kilkumetrowej jamy.

Kierowca odruchowo zwrócił głowę w tę samą stronę i natychmiast zobaczył to, na co patrzyła staruszka: z bocznej ściany wykopu, tuż pod metrową warstwą żyznej gleby, wystawał strzęp czegoś, co kiedyś mogło być kraciastym, kolorowym pledem, wewnątrz zaś zbutwiałej już częściowo tkaniny tkwiła ludzka stopa, obuta w skórzany sandał.

= □ =

Piąte z kolei przesłuchanie babci Szemiotowej przebiegało w atmosferze nieco innej niż dotychczas. Wprawdzie obie strony od dawna wiedziały, czego mogą się po sobie spodziewać, jednak dzisiaj porucznik Kuźmicki musiał staruszce coś powiedzieć, a ciągle jeszcze nie wiedział, w jaki sposób.

— No więc, mówię — z wyraźną satysfakcją w głosie ciągnęła babcia swoją opowieść. — Tyle razy mówię, że aż mówić się nie chce. Trzy... nie, siedem lat temu to było. Idę ja wieczorem pomidory podlewać (w dzień nie można, bo gorąco), ciemno już się zaczyna robić, ale idę, a tu patrzę: zaraz przy płocie postać jakaś ogromna stoi i na biało odziana. Myślałam z początku, że to może dzieciaki od sąsiada w jabłka lazą, ale nie. Podchodzę, a to białe nie ucieka. Nogi się pode mną ugięły. Biegiem do mieszkania! Wodę święconą miałam, to myślę sobie, że trzeba będzie pokropić...

Kuźmicki nie przerywał staruszce, chociaż całą tę opowieść znał już na pamięć. Za chwilę babcia powie, jak to w rok później, kiedy w tym samym miejscu posiała ogórki i zebrała z grządki może z pół kilograma, poszła do księdza z prośbą o pomoc, ten zaś nie chciał odmawiać modłów nad spłachetkiem ziemi z warzywami. Zresztą, nie o to teraz chodziło. Przypadła mu bowiem w udziale paskudna misja, z której musiał się jakoś wywiązać.

— No i teraz wiem, co mnie tam straszyło. Chryste Panie, tyle czasu mieszkać z nieboszczykiem! — babcia Szemiotowa zakończyła dokładnie tym samym zdaniem, jakie wypowiedziała kilka tygodni temu, w trakcie pierwszego przesłuchania.

— Pani Szemiotowa — korzystając z chwili ciszy zaczął Kuźmicki. — Pani Weroniko — poprawił się. — Mam dla pani złą wiadomość. Może szklankę wody?

— Że co? — babcia z wrażenia wytrzeszczyła oczy. W jej długim życiu nieraz częstowano ją herbatą, czasem kieliszkiem na-

CIĄG DALSZY NA STR. 18

z pierwszej ręki

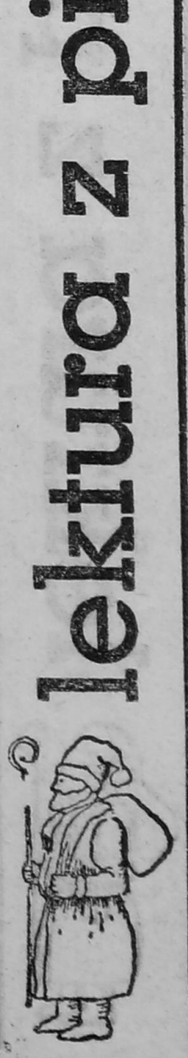

lektura z pierwszej ręki

CIĄG DALSZY ZE STR. 17

wet, ale wody nikt dotąd jeszcze nie proponował. Człowiek pije wodę, gdy go suszy albo z jakichś innych powodów ma pragnienie, i w tym znaczeniu jest ona przedmiotem konsumpcji ściśle indywidualnej, intymnej rzec można.

— Bardzo mi przykro — Kuźmicki odwlekał moment powiedzenia tego, co miał powiedzieć staruszce. — Denat... to znaczy... no ten, którego koparka odsłoniła w wykopie, to pani syn.

Babcia Szemiotowa uśmiechnęła się łagodnie, z wyrozumiałą pobłażliwością: — Mój syn mnie straszył, Staszek?

— Nie o to chodzi — porucznik westchnął głęboko. — Może ktoś tam panią straszył, bo duchów przecież nie ma, ale ten nieboszczyk, którego szczątki zostały znalezione u pani w ogrodzie, to właśnie pani syn, Stanisław Szemiot.

Sposób, w jaki staruszka zareagowała na wiadomość, wprawił Kuźmickiego w osłupienie. Spodziewał się płaczu, może nawet omdlenia, a tymczasem babcia, odchyliwszy głowę do tyłu, parsknęła zdrowym, nieomal radosnym śmiechem.

Porucznik sięgnął po słuchwkę. „Tylko tego jeszcze brakowało — pomyślał. — Moja rola skończona, o resztę niech już się martwi lekarz." Zanim jednak zdążył wykręcić numer, babcia otworzyła czarną torebkę z imitacji skóry, wyjęła z niej pomiętą kopertę, starannie rozprostowała i położyła na stole przed zaskoczonym oficerem.

Kuźmicki wziął ją do ręki. Na zagranicznym znaczku z napisem „Poste France" dostrzegł wyraźnie odciśnięty stempel z datą 15 V 1985. List pochodził zatem sprzed trzech tygodni, zaadresowany był do staruszki, zaś jego nadawca — co można było przeczytać na odwrocie koperty — mieszkał w Bordeaux i nazywał się Stanisław Szemiot! Ten sam Stanisław Szemiot, którego kości leżały już w ziemi około siedmiu lat, co ponad wszelką wątpliwość zostało stwierdzone przez kompetentnych ekspertów.

= □ =

Pułkownik Warzyński, szef wydziału kryminalnego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łomży, człowiek nie pierwszej już młodości, z szeroką blizną na policzku, powstałą w czasach, kiedy jako młody aplikant-wywiadowca usiłował aresztować rzezimieszka uzbrojonego w brzytwę, w milczeniu przeglądał papiery wpięte w skoroszyt. Oprócz niego w gabinecie znajdowało się dwóch innych jeszcze oficerów; porucznik Kuźmicki i kapitan Warejko. Ten ostatni, z racji trudnego charakteru, zwany był przez kolegów „Krokodylem".

— No więc tak — odezwał się wreszcie Warzyński. — Spróbujemy to jakoś zrekapitulować. Mówcie, poruczniku.

— Nie ma żadnych wątpliwości — Kuźmicki zaczął pewnym siebie głosem — że wszystkie listy w liczbie czternastu, jakie od lipca 1979 do maja 1985 dostała Weronika Szemiotowa, zostały napisane przez jej syna Stanisława. Potwierdziły to dwie, niezależne od siebie, ekspertyzy. Szemiotowa otrzymała również od niego inne przesyłki, w tym, jak zdołałem ustalić, dziewięć paczek i siedem przekazów na łączną sumę 690 dolarów. Z drugiej jednak strony: nie ma żadnych wątpliwości, że zwłoki znalezione w wykopie są zwłokami Szemiota. Już na początku śledztwa znalazłem w naszym archiwum zgłoszenie babci...

— Czyje? — przerwał Warzyński.

— ...Weroniki Szemiotowej — poprawił się Kuźmicki i ciągnął dalej: — Zgłoszenie w sprawie zaginięcia jej syna. Podobno wyszedł z domu bez płaszcza i marynarki, a kiedy po miesiącu nie wrócił, wówczas zdecydowała się prosić nas o pomoc.

— Dopiero po miesiącu?

— No cóż, należy przypuszczać, że Piękny Stasio, który w tym czasie zrezygnował już ze wszelkiej pracy zarobkowej, dosyć często znikał z domu na dłużej, zwłaszcza kiedy wpadł w trans i dawał w rurę.

Warzyński skrzywił się z niesmakiem. Wprawdzie lubił tego utalentowanego chłopca, z którego w przyszłości mógł wyrosnąć pierwszorzędny oficer, jednakże nie pochwalał jego dosyć luźnego stosunku do regulaminu służbowego.

— Muszę powiedzieć, że kiedy tylko dowiedziałem się o tym zniknięciu, zaraz przyszło mi na myśl, że Szemiot być może zbyt daleko nie odjechał — kontynuował Kuźmicki nie zważając na skrzywioną minę szefa. — Gdyby synek chciał na dobre opuścić mamusię, pewnie by to zrobił, ale najpewniej z jej futrem. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Przeciwnie, wyszedł z domu bez marynarki i bez grosza przy duszy. I co było dalej? Wsiadł do pociągu czy raczej do autobusu, bo w Łomży pociągów praktycznie nie ma, i tak sobie pojechał? Niby dokąd, za co i, przede wszystkim, po co? U mamy zawsze miał ten talerz kapuśniaku na kaca, gdzież mogło być mu lepiej? W identyfikacji zwłok pomógł szczęśliwy zbieg okoliczności: denat miał kiedyś skomplikowane złamanie podudzia; zachowały się zdjęcia rentgenowskie i wystarczyło tylko porównać kliszę z oryginałem. Zrosty są bardzo charakterystyczne, pomyłka wykluczona.

— Wnioski?

(Cdn.)

KONIEC ROKU I KONIEC ROCKA?

Tym razem nie będzie podsumowania tego, co wydarzyło się w muzyce młodzieżowej w mijającym roku. W Polsce antenę radiową i estrady ogarnęła muzyka alternatywna i postpunkowa, która rozwija się w dość dziwny sposób i sobie tylko wiadomymi drogami. Pozostała część — to znani i utalentowani niegdyś wykonawcy, którzy nie potrafili zrobić kariery za granicą i teraz walczą o przetrwanie w kraju. Tak właśnie! Jest to walka nie tyle o utrzymanie na estradzie, co materialne. Im więcej koncertów, tym większe pieniądze. Dewiza ta towarzyszy od pewnego czasu wielu muzykom i wykonawcom. Nie dziwcie się więc, że koncerty stają się coraz droższe, a ci, którzy na nich występują, coraz gorsi. Nie można bowiem nigdy pogodzić ilości z jakością, żyć jednak trzeba.

Taki był mijający 1987 rok w muzyce polskiej.

Jest kilka doskonałych zespołów, w które wierzę. Oczywiście, o ile młodzi muzycy nie zaczną myśleć o samochodach i modnych ciuchach. Wtedy bowiem znowu będziemy mieli do czynienia z chałturą.

Na zdjęciu: „Róże Europy" — wielka nadzieja.

fan-club redaguje Krzysztof Kurianiuk

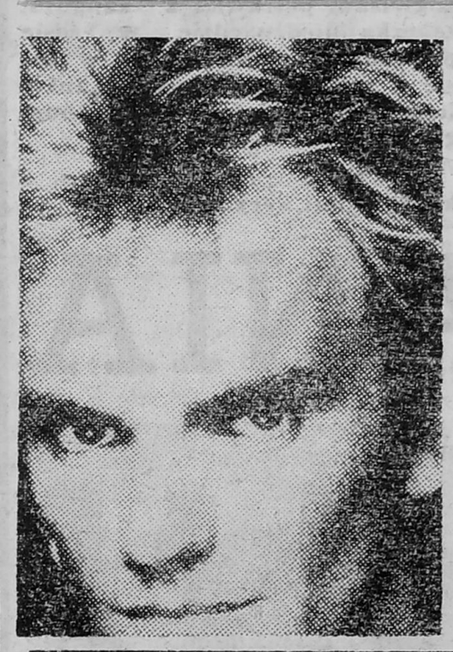

STING

i jego najnowszy album „Nothing Like The Sun" ciągle na fali. Czy zostanie płytą roku? Od Was to tylko zależy. Czekamy na Wasze listy: opinie i refleksje o tym, co działo się w muzyce 1987 roku. Najciekawsze z nich opublikujemy.

CASUS CASUSA

Grupa „Casus" obchodzi swój skromny jubileusz. Zaczynali w 1982 roku u boku zespołu „Lady Pank". Tamci popadli w niełaskę, ci — nigdy w zasadzie tej wielkiej łaski nie dostąpili. Próbowali różnych rodzajów muzyki od pop and rocka po reggae. W 1984 roku trafili na festiwal do Opola, prezentując nieznane już dziś nagranie „Sahara, o tak". Przez kilka tygodni piosenkę słychać było w „Lecie z radiem", ale na tym się skończyło. Były również występy w telewizji, w programie „Od Opola do Opola", oraz seria teledysków w programie II TVP. W tym roku po pobycie w Czechosłowacji, nagraniach dla radia i kilku okazjonalnych koncertach — nic szczególnego w życiu zespołu nie wydarzyło się.

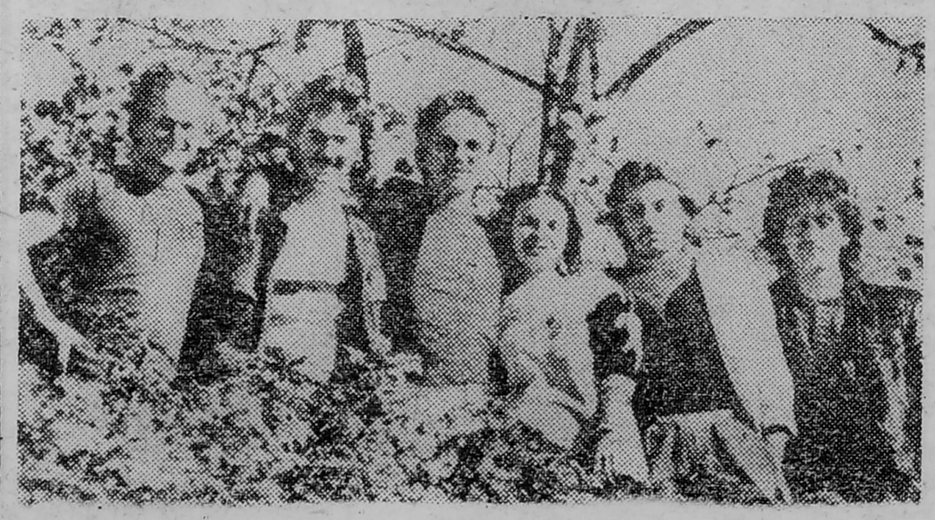

Z CZEGO POWSTAJE ŚCIANA

Roger Waters — były basista, wokalista i leader brytyjskiego zespołu „Pink Flody" — ma już 43 lata.

— Czy wolisz pracę na własny rachunek, czy też muzykowanie w grupie?

— Byłem zadowolony z pracy w grupie do pewnego momentu, do czasów „The Wall". Było bowiem do tej pory wiadomo, że ja pracuję nad tekstem, a pozostali zajmują się swoimi sprawami. Wtedy dobrze nam się pracowało, ale po wydaniu „The Wall" wszystko zmieniło się. Dla mnie natomiast koszmarem stało się nagrywanie kolejnej płyty „The Final Cut". Nie rozumiałem, co się działo, nie mogłem nawet kontrolować tego, co robiłem.

— Musiałeś chyba nieźle pokłócić się z kolegami z „Pink Floyd", skoro zabroniłeś sądownie reszcie zespołu używania nazwy.

— Nie kłóciliśmy się, a moja decyzja wynikała z zupełnie innych pobudek. Proszę sobie wyobrazić np. Ringo Starra występującego jako „The Beatles". Byłby to nonsens, bo kiedy zespół nie pracuje, to go po prostu nie ma. Jeśli „Pink Floyd" wystąpi jako grupa, to będzie to zwyczajne naciąganie ludzi.

— Dlaczego?

— Ponieważ mnie tam nie ma, nie będzie mojej części pracy, pewnej atmosfery, którą mógłbym wnieść podczas koncertu jako Roger Waters.

— A nie lepiej grać pod nazwą „Pink Floyd" dla np. 100 tysięcy widzów niż jako mniej znany Roger Waters dla 2—3 tysięcy?

— Nie sądzę, ażeby ludzie, którzy kupują bilety na koncerty „Pink Floyd", a nawet innego zespołu, wiedzieli, co ich czeka na takim występie. Kiedyś, gdy zajmowałem się sprawami finansowymi zespołu, odmówiłem grania na stadionie dla 50 tysięcy ludzi.

— Ale zespół „Pink Floyd" występował na stadionach.

— Tak, lecz kazda spędzona minuta była dla mnie okrutną męką. Pamiętam, jak występowaliśmy w 1977 roku na stadionie olimpijskim, przyszła wtedy masa ludzi, to właśnie tam pomyślałem sobie, że warto napisać coś, co potem przerodziło się w „The Wall". Na tym koncercie organizatorzy odgrodzili scenę zwyczajną siatką. I na tę siatkę wdrapał się na początku koncertu jakiś chłopak, który przez cały czas coś do nas krzyczał. To była właśnie próba nawiązania z nami kontaktu, chłopak może chciał nam powiedzieć coś miłego, może porozmawiać o muzyce, a my go nie zrozumieliśmy. Bardzo drażnił mnie ten chłopak, momentami doprowadzał do szału, bo darł się nawet w spokojnych fragmentach. Pod koniec koncertu nie wytrzymałem nerwowo, podszedłem do krawędzi sceny i naplułem na tego chłopca To były nerwy, ale po tym plunięciu uświadomiłem sobie, że przecież tutaj dzieje się, i działo przez cały występ, coś niezwykle ważnego, coś istotnego i wcale przez nas nie spełnionego. Ci ludzie, którzy przyszli na spotkanie z nami, zrobili to nie dla szpanu, czy nawet muzyki — chcieli być z nami, czekali, że powiemy im jakąś prawdę, według której będą mogli postępować. Niestety, takiej prawdy nie otrzymali od nas; nie wiem zresztą, czy kiedykolwiek jakiś wykonawca czy zespół coś takiego im powiedział.

Jeśli między mną a tym chłopakiem była tak wielka alienacja, to jest to dopiero problem. W tej właśnie sekundzie narodził się pomysł wybudowania olbrzymiej ściany odgradzającej widownię od zespołu.

— Jesteś częścią wielkiej legendy muzycznej i chyba dzisiaj możesz już pozwolić sobie na takie rozważania i trochę inne spojrzenie na muzykę niż dawniej.

— Jestem dumny z „Pink Floyd". Wspólnie napisaliśmy trochę rzeczy. To było coś więcej niż czterech facetów-muzyków. „Pink Floyd" nigdy już się nie powtórzy w takim wydaniu jak dawniej, zresztą nie chciałbym, aby tamte lata powróciły. Dla mnie są one wspaniałą pamiątką i czymś, do czego mogę wracać w marzeniach. Teraz jestem już chyba za stary na takie rzeczy jak niegdyś.

— A jak wygląda twoja indywidualna działalność muzyczna?

— Kilka tygodni temu ukazał się na rynku mój album „A Momentary Lapse of Reason". Jest to płyta, która chyba potwierdza, że te klimaty i nastroje, które cechują albumy „Pink Floyd", nie są obecnej mojej muzyce obce. Trudno jest wyzwolić się spod magii tego, co robiło się przez tak wiele lat.

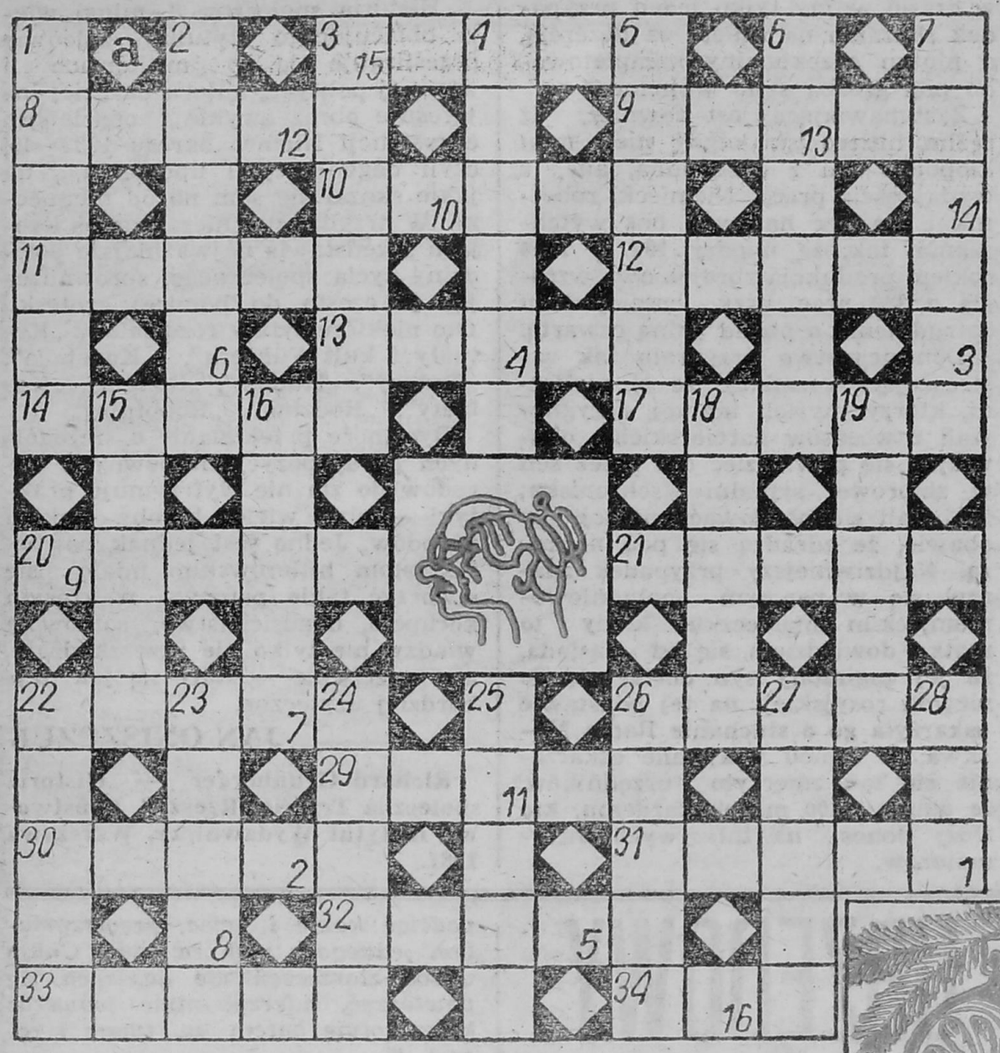

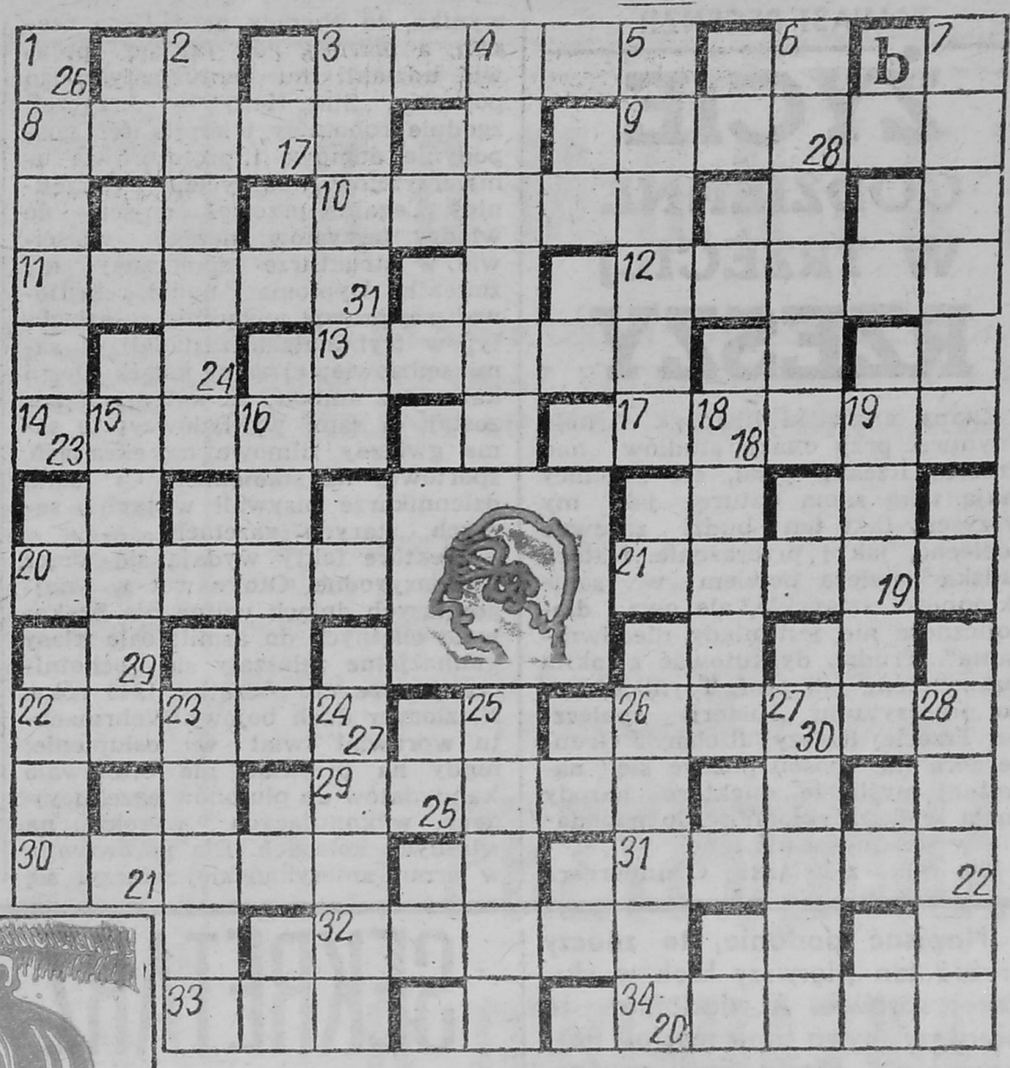

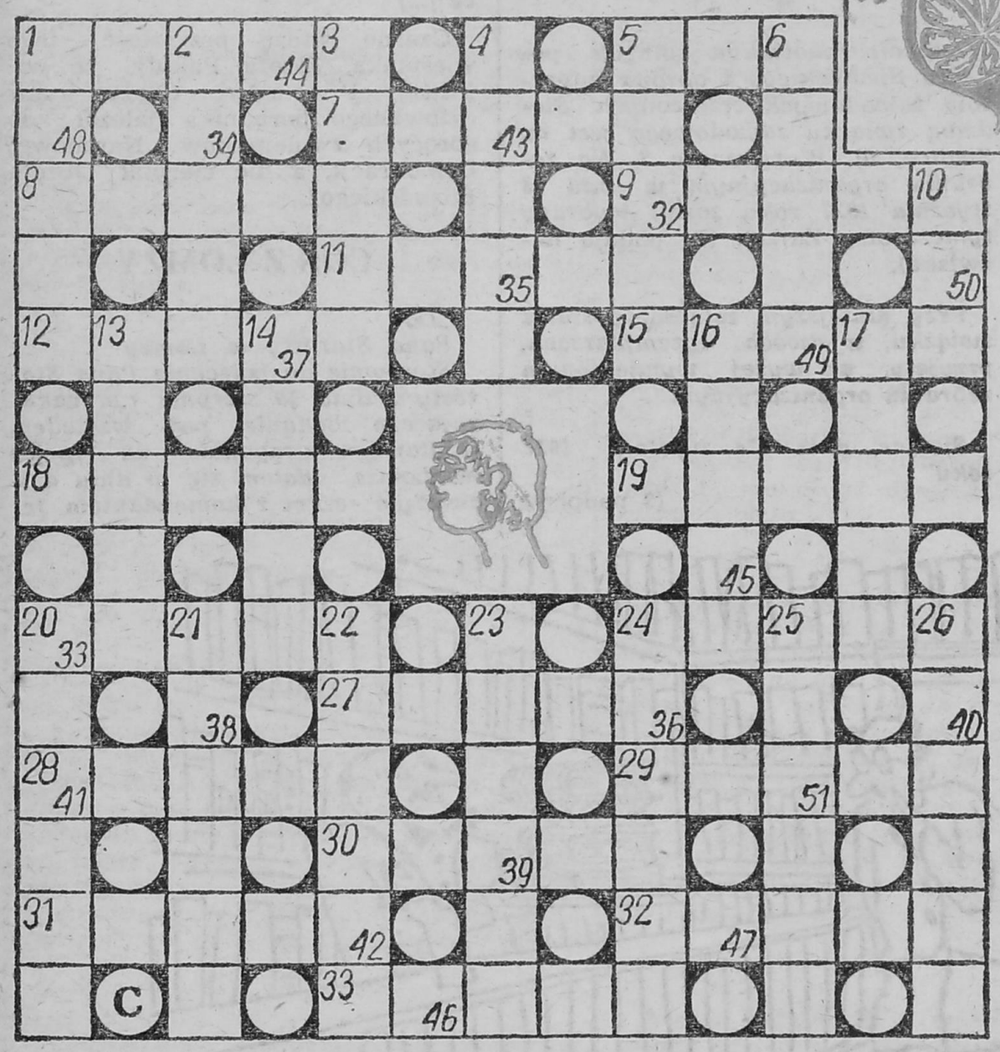

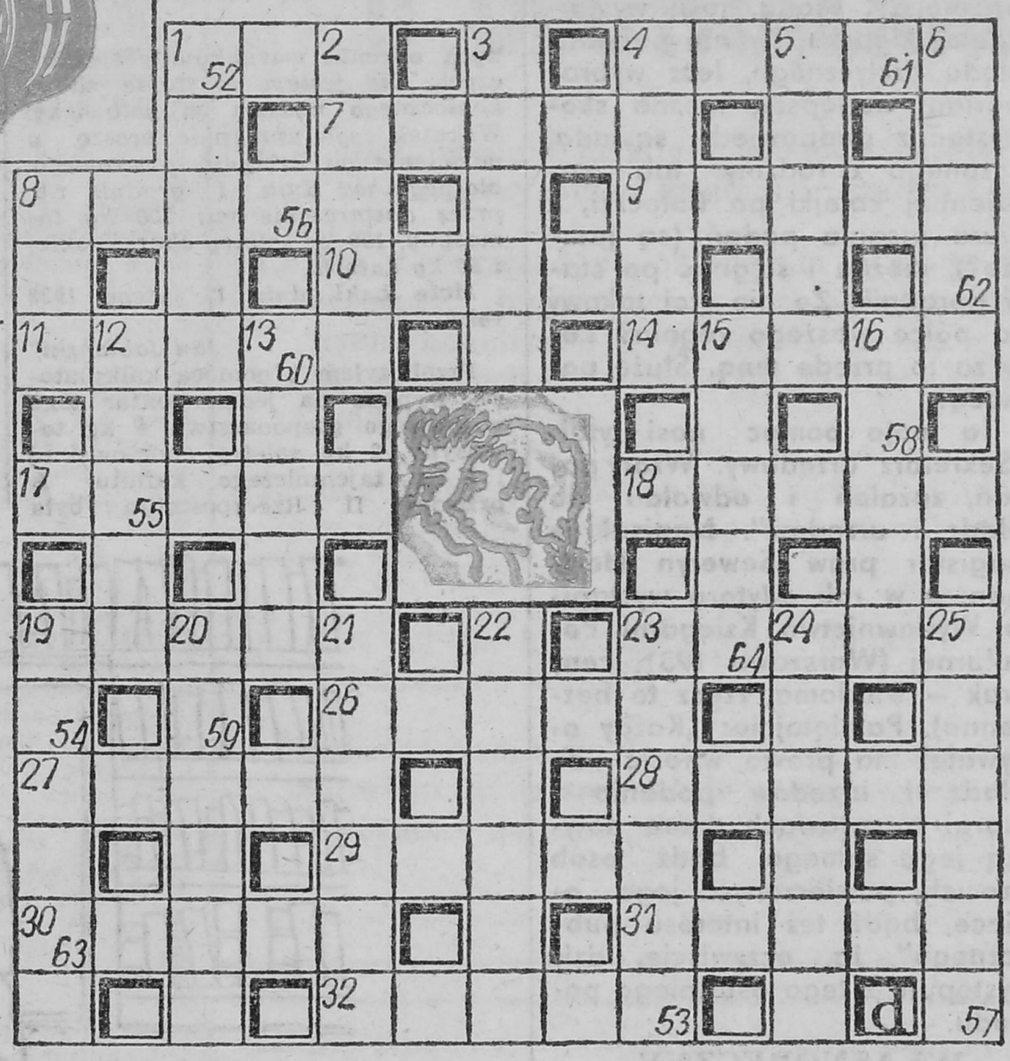

A — DLA BABĆ I DZIADKÓW

POZIOMO: 3) włóczęga, 8) wigilia, ale inaczej, 9) przedmiot, 10) Bałtyckie lub Północne, 11) uprzywilejowana grupa ludzi, 12) szaruga, plucha, 13) służy do zapinania, 14) piękno, uroda, 17) dychawica — zmora starszych osób, 20) dawny instrument muzyczny, 21) maruda, 22) teren wydzielony na tor kolejowy, 26) środek komunikacji powietrznej, 29) słuszność, 30) żeton, 31) dawny polski statek rzeczny, 32) tradycyjna potrawa wigilijna, 33) niewielka antylopa indyjska, 34) student.

PIONOWO: 1) drzewo na choinkę, 2) imię żeńskie, 3) ciamajda, niezdara, 4) uczucie wielkiego przerażenia, 5) linia, zwykle krótka, cienka, 6) renowacja, 7) coś z białej broni, 15) roślina wodna pływająca po powierzchni wody, 16) bawialnia, 18) jednoczesny wystrzał z wielu dział, 19) używane do mycia, 22) obelisk, 23) ogrodowy kwiat jesienny, 24) twórca czeskiego filmu animowanego, 25) biesiada przy świątecznym stole, 26) podręczny u podróżnego, 27) ptak nocny z rzędu kozodojów, 28) ptak morski.

B — DLA DJCÓW

POZIOMO: 3) kuglarz, 8) odprowadza wodę z dachu, 9) uparte zwierzę, 10) umysł, 11) odmiana roweru, 12) front, 13) emblemat, symbol, 14) można mieć otwarte w banku, 17) dawne okrycie głowy papieża, 20) duży ptak biegający, 21) królewski ptak, 22) transport drewna drogą wodną, 26) waga towaru bez opakowania, 29) zawiadomienie o nadejściu przesyłki pocztowej, 30) wybieranie, 31) małpa wąskonosa z rodziny człekokształtnych, 32) znany rozrywkowy lokal warszawski, 33) dawniej prowadził audycję telewizyjną „Piórkiem i węglem", 34) droga bita, gościniec.

PIONOWO: 1) centrum, 2) zawilec, 3) gatunek kawy rozpuszczalnej, 4) siedzą na niej kury, 5) tam wpadła śliwka, 6) gąsienica, 7) zamknięcie metalowe z pałąkiem, 15) matecznik, 16) wędrowna grupa teatralna, 18) dawna nazwa wędrownych kuglarzy, 19) zwany jest świńską trawą, 22) jest ssania i sprężania w silniku, 23) urwis, psotnik, 24) gatunek jaszczurki, 25) część ciała na ordery, 26) prawe ujściowe ramię Wisły, 27) cieplica, 28) oddalenie się drogą powietrzną.

C — DLA MATEK

POZIOMO: 1) rodzaj obrotu gimnastycznego, 5) na kobiecej głowie lub na okręcie, 7) łapanie żywcem zwierzyny łownej, 8) nieżyt, 9) siła rozpędu, rozmachu, 11) imię żeńskie, 12) antonim waśni, 15) miasto Kopernika, 18) domena chóru, 19) rogacz — symbol zdradzonego męża, 20) pierwiastek chemiczny, 24) najemny pracownik folwarczny, 27) przeciwieństwo ciepła, 28) właściwość charakteryzująca pod jakimś względem istotę, przedmiot, 29) owoc południowy — symbol dobrych interesów, 30) druga pod względem długości rzeka Afryki, 31) kalebasa, 32) dwutlenek krzemu, 33) loteria liczbowa.

PIONOWO: 1) spis, rejestr, 2) aforyzm, maksyma, 3) dźwignia z rączką, zakładana na wał maszyny, 4) służący, 5) tulipan, aster, 6) morski rozbójnik, 10) głębia, 13) nad nim leży Kruszwica, 14) specjalne odżywianie, 16) szkolna nota, 17) obfity deszcz, 20) przyjmuje paczki, listy, telegramy, 21) coś ze sprzętu lekkoatletycznego, 22) drapieżnik z rodziny psów, 23) kruszący materiał wybuchowy, 24) styl w sztuce europejskiej XVIII wieku, 25) stan z Austin, 26) artyleryjski wóz amunicyjny.

D — DLA DZIECI

POZIOMO: 1) uczucie smutku, tęsknoty, 4) napaść, 7) może spowodować pożar, 8) ptak — symbol pokoju, 9) polski ciągnik, 10) jedna z niewiadomych w matematyce, 11) dziewczynka obchodząca imieniny w lutym, 14) jedna z elektrod, 17) kręci głową, 18) generalna przed premierą, 19) posiłek w środku dnia, 23) sądowy werdykt, 26) Narew, Pisa, 27) śnieżna przeszkoda na drodze, 28) kwietnik, 29) jednostka monetarna naszych zachodnich sąsiadów, 30) imię żeńskie znane z serialu o pszczółce Mai, 31) na stawie lub na powiece, 32) góry z Rysami.

PIONOWO: 1) wędkarski sznurek, 2) znane państwo arabskie, 3) surowiec rymarski, 4) jest pobierana w szkole, 5) łańcuch gór, 6) tartaczny produkt, 8) zabawa, 12) borowik, kania, maślak; 13) las syberyjski, 15) deski do zjeżdżania, 16) przeciwieństwo zła, 19) błyszczą w dziecięcej twarzy, 20) szkodliwy owad, 21) tragedia, 22) tajemnica, 23) samowolne opuszczenie lekcji, 24) nabranie szybkości, 25) trunek z gwiazdkami. (HCL)

Wśród tych, którzy w ciągu 2 tygodni nadeślą pod adresem redakcji („Kontakty", ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża) prawidłowo odczytane hasło, rozlosujemy nagrody ufundowane przez Społeczne Stowarzyszenie Prasnoznawcze „Stopka".

Tym razem proponujemy zabawę, w której może wziąć udział cała rodzina. Krzyżówka podzielona jest na cztery części, (można je rozwiązywać w dowolnej kolejności), a powinni do niej zasiąść: do części A — babcie i dziadkowie, B — ojcowie, C — matki, D — dzieci. Po odgadnięciu wszystkich haseł, litery z pól oznaczonych w prawym dolnym rogu liczbami od 1 do 64 utworzą hasło, które wystarczy podać w rozwiązaniu.

NAGRODY! rodzinna wycieczka krajowa (4 osoby), kwarta miodu pszczelego, gęś, oraz atrakcyjne książki.

ZAMIAST RECENZJI

ŻYCIE CODZIENNE W TRZECIEJ RZESZY

Znany angielski historyk Arnold Toynbee, przy okazji studiów nad Trzecią Rzeszą, pisał, że: „Niemcy mają taką samą naturę, jak my wszyscy; fakt ten budzi zarówno pociechę, jak i przerażenie. Natura ludzka zawiera bowiem w sobie skłonności sztańskie, ale owa diaboliczność nie jest nigdy nieodwracalna". Trudno dyskutować z takim autorytetem, jak prof. Toynbee, lecz po przeczytaniu „Historii społecznej Trzeciej Rzeszy" Richarda Grunbergera nie sposób pozbyć się natrętnej myśli, że niektóre narody mają większą skłonność do popadania w skrajności niż inne.

Nie tylko z książki Grunbergera wynika, że Niemcy na Hitlera czekali, a później, gdy już się pojawił, udzielili mu entuzjastycznego poparcia. „Sieg Heil!" — krzyczeli zgodnie robotnicy i kapitaliści, gospodynie domowe i profesorowie uniwersytetów, nauczyciele i urzędnicy. Legalne przecież dojście do władzy faszystów niczego właściwie w strukturze społecznej nie zmieniło. Dyplomaci nadal rekrutowali się prawie wyłącznie ze szlachty; w trybunałach zasiadali ci sami sędziowie; ci sami księża głosili kazania z ambon; na katedrach pozostali ci sami wykładowcy; te same gwiazdy filmowe na ekranach, sportowcy na stadionach. Ci sami dziennikarze pisywali w tych samych, „starych" gazetach.

Niektóre fakty wydają się wręcz niewiarygodne. Oto nawet w najgorętszych dniach wojny nie brakowało chętnych do armii; całe klasy gimnazjalne zgłaszały się ochotniczo jeszcze na początku 1945 roku. Niezłomny duch bojowy Wehrmachtu wprawiał świat w osłupienie; nigdy na przykład nie brakowało kandydatów do plutonów egzekucyjnych, wykonujących wyroki na własnych kolegach. Dla porównania w armii amerykańskiej zdarzył się w czasie wojny tylko jeden przypadek skazania na śmierć za dezercję, a pluton egzekucyjny kompletowano pod groźbą sądu wojennego.

Zastanawiające jest również, iż reżim hitlerowski nigdy nie miał kłopotów ani z dyscypliną, ani z wydajnością pracy. Niemiecki robotnik i majster harowali bez wytchnienia, tak, że między 1941 i 1944 rokiem produkcja zbrojeniowa wzrosła o 230 proc. przy zmniejszeniu zatrudnienia o ponad jedną czwartą.

Donosicielstwo przybrało tak zastraszające rozmiary, że ci nieliczni, którzy myśleli inaczej, rezygnowali z wczasów narciarskich, obawiając się powiedzieć coś przez sen w zbiorowej sypialni schroniska; inni bali się poddawać operacji w obawie, że zdradzą się pod narkozą. Najdziwniejszy przypadek zdarzył się w pewnym południowoniemieckim miasteczku, kiedy to matka dowiedziała się od sąsiada, że jej zaginiony syn dostał się do niewoli rosyjskiej; na tej podstawie oskarżyła go o słuchanie Radia Moskwa. W końcu wzajemne oskarżanie się tak zmęczyło urzędników, że obiecali 100 marek każdemu, kto złoży donos... na fałszywych informatorów.

„Historia społeczna...", mimo wiele obiecującego tytułu, zaledwie prześlizguje się po militariach i wielkiej polityce; autora bardziej interesuje obraz zwykłej, codziennej egzystencji Niemca okresu 1933—45, czyli degeneracji i upodlenia, na jakie skazał się sam naród niemiecki. W trzydziestu niezależnych esejach przedstawia najważniejsze dziedziny życia społecznego, sprowadzając je często do ponurej groteski. Oto niektóre tytuły rozdziałów: „Rytuały i kult Führera", „Korupcja", „Donosy", „Humor", „Religia", „Kobiety", „Rodzina", „Robotnicy".

Być może przekonanie o szczególnych predyspozycjach pewnych narodów do zła nie wytrzymuje praktyki — zbyt wiele byłoby takich narodów. Jedno jest jednak pewne: faszystom hitlerowskim udało się stworzyć takie państwo, w którym korupcja, donosicielstwo, samowola władzy, nie tylko nie przeszkadzały, ale przeciwnie — stały się jak najbardziej użyteczne.

JAN ONISZCZUK

Richard Grunberger — „Historia społeczna Trzeciej Rzeszy". Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.

SEKRETARZ URZĘDOWY

Napisać podanie, to znaczy zrobić ten pierwszy krok w słusznej sprawie. A wiadomo, że pierwszy bywa najczęściej najważniejszy. Biada, jeśli wystartujemy kiepsko. By nie popełnić błędu taktycznego, lecz wybrać wariant najlepszy, można skorzystać z podpowiedzi sąsiada, uczonego z rodziny lub codziennej kolejki po bułeczki, z biura pisania podań (są jeszcze?), można i sięgnąć po stary poradnik. Że nie stoi takowy na półce waszego regału? Leży za to przede mną. Służę pomocą!

Ta moja pomoc nosi tytuł: „Sekretarz urzędowy. Wzory podań, zażaleń i odwołań do władz i urzędów". Napisał je magister praw Seweryn Hartman, a w roli edytora wystąpiło Wydawnictwo Księgarni Popularnej (Warszawa 1931, ceny brak — wiadomo, rzecz to bezcenna). Pamiętajcie: „Każdy obywatel ma prawo wnosić do władz i urzędów podania i skargi w sprawach, które dotyczą jego samego bądź osób trzecich, powierzonych jego opiece, bądź też interesu publicznego". Ja, oczywiście, dziś występuję z tego ostatniego powodu.

WŁASNORĘCZNY TESTAMENT

Przepraszam, że zacznę od sprawy bardzo smutnej. Ale czy rzeczywiście takiej smutnej? A może raczej dwuznacznej?

„W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — Amen!

Ja niżej podpisany Bronisław Baryka, czując iż siły opuszczają mnie z dniem każdym i spodziewając się wkrótce opuścić ten padół, postanowiłem przytomnie i bez przymusu sporządzić następujące rozporządzenie mojej ostatniej woli:

Wobec tego, iż nie pozostawiam po sobie żadnych bliższych krewnych, cały mój majątek, jaki w chwili śmierci mojej po mnie zostanie, zapisuję na własność Janinie Zagórskiej (!), która młodością swoją i miłą serdecznością umiliła ostatnie lata mego życia i czynię ją jedynym moim spadkobiercą. Taką jest moja ostatnia wola, którą własnoręcznie napisałem i opatrzyłem własnoręcznie datą i podpisem.

Warka, d. 16 października 1926 r.
Bronisław Baryka"

– Przepraszam za ten wykrzyknik, ale skąd się wzięli Zagórscy w Warce?

JAN JABŁOŃSKI PROSI O KREDYT NAWOZOWY

„Posiadam 50 ha gruntu we wsi Małe Łąki. Prowadzę wzorowe gospodarstwo rolne, pragnę podnieść wydajność roli za pomocą nawozu sztucznego. Jednakże, wobec trudnych obecnie warunków gospodarczych, nie jestem w stanie nabyć koniecznego nawozu za gotowiznę. Wskutek tego uprzejmie proszę o udzielenie mi kredytu towarowego, płatnego w dniu 1 grudnia r.b. przez dostarczenie mi: 200 kg tomasyny, 100 kg saletry chorzowskiej i 50 kg kainitu.

Małe Łąki, dnia 17 lutego 1928 roku
Jan Jabłoński"

Przeliczyłem z pomocą kalkulatora, wypada na jeden hektar tego wzorowego gospodarstwa 4 kg tomasyny, 2 kg saletry chorzowskiej i 1 kg tajemniczego kainitu. A przecież II Rzeczpostolita była eksporterem zboża. Chłopy, może ten kryzys to przez te sztuczności?

NIECO MAKABRYCZNE PODANIE TEODORA KACZMARSKIEGO

„Komisja protezowa Powiatowej Komendy Uzupełnień w Sieradzu przyznała mi jedną sztuczną nogę roboczą, która służy do codziennego użytku. Nie posiadam natomiast nogi kosmetycznej zapasowej, która jest mi niezbędna na wypadek zepsucia się nogi roboczej.

Wobec tego uprzejmie proszę Powiatową Komendę Uzupełnień, aby raczyła mi przyznać sztuczną nogę zapasową.

Sieradz, dnia 26 maja 1927 roku
Teodor Kaczmarski"

NOWE ZWIĄZKI

„Do
Pana Inspektora Pracy w Siedlcach

Uprzejmie prosimy Pana Inspektora Pracy o wciągnięcie do rejestru związków zawodowych okręgu inspektoratu pracy w Siedlcach związku zawodowego p.n. «Związek Zawodowy Robotników Rolnych w Siedlcach». Celem Związku jest zrzeszenie robotników rolnych powiatu Siedleckiego i obrona interesów zawodowych zrzeszonych. Siedzibą związku zawodowego jest m. Siedlce, ul. Warszawska 7. Na zebraniu organizacyjnym w dniu 18 stycznia 1927 roku został wybrany tymczasowy Zarząd (tu padają nazwiska).

Przy niniejszym załączamy statut związku, w dwóch egzemplarzach, przyjęty na wyżej wymienionym zebraniu organizacyjnym.

Siedlce, dnia 24 stycznia 1927 roku"

(3 podpisy)

Podulka

DONIESIENIE SĄSIADKI

„Sąsiad mój, Leonard Dzikowski, posiada aparat radiowy, dwulampowy o wewnętrznej antenie i jak mi wiadomo, nie opłacił koncesji.

Komunikując o powyższym, nadmieniam, iż gotowa jestem potwierdzić moje oświadczenie przed sądem.

Chełm, dnia 23 grudnia 1928 roku
Anastazja Domaradzka"

Taki miły prezencik świąteczny dociekliwej sąsiadki.

Pewnie krewna Anastazji, Anna Wiktoria Domaradzka, figuruje pod podaniem o pozostawienie syna na trzeci rok w tej samej klasie. Powód: *„trzykrotnie był zmuszony poddać się operacji ślepej kiszki"*. Biedaczek.

RAPORT POSTERUNKOWEGO STANISŁAWA JÓŹWIAKA

„[...] wieśniak odepchnął mnie od wozu, mówiąc: Idź glino, pókiś cały. Widząc, że wieśniak ma zamiar podciąć konie i uciec, przytrzymałem jednego z nich za uzdę. Chłop wśród złorzeczeń nie dających się powtórzyć, uderzył mnie wówczas kilkakrotnie batem w twarz i ręce [...]"

Czarno widzę przyszłość tego wieśniaka, Józefa Pakuły ze wsi Piłusdy. Piłsudy? Czyżby autor cytowanego poradnika należał do gorących zwolenników Narodowej Demokracji, a nie cierpiał Józefa Piłsudskiego?

COŚ Z ŁOMŻY

„Do
Pana Starosty w Łomży

Stosownie do polecenia Pana Starosty z dnia 19 sierpnia r.b. nakazującego zbadanie pod względem sanitarnym straganów na rynku m. Łomża, udałem się w dniu dzisiejszym razem z komendantem Jerzym Lubieckim na miejsce i stwierdziłem, co następuje:

1) Wszystkie bez wyjątku straganu na rynku m. Łomży nie odpowiadają wymogom sanitarnym — lady nie są myte, a sprzedawane rzeczy nieochronione przed kurzem [...].

2) Targowisko drobiu nie jest utrzymane w należytej czystości. Klatki z drobiem są wyjątkowo brudne, a wydzieliny ptactwa są wyrzucane wprost na ziemię, gdzie się da.

Konieczne jest mojem zdaniem jak najszybsze wkroczenie w te stosunki, gdyż dzięki dotychczasowemu zaniedbaniu zdrowiu mieszkańców grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Łomża, dnia 22 sierpnia 1928 roku
dr Jan Niwiński
lekarz powiatowy"

Złośliwiec!

Podania z prośbą o wszelką obfitość, zdrowie i spokój na okres Świąt i na cały Nowy Rok, niestety, nie znalazłem.

ADAM DOBROŃSKI

Rys. Andrzeja Podulki

propozycje

Z KRONIK MO

Z zambrowskiego zakładu fryzjerskiego włamywacze po wielu zabiegach zdobyli cztery butelki lakieru do włosów, radio „Taraban" i wentylator.

*

W Zakrzewie Starym spaliła się stodoła i obora należące do Antoniego O. W zabudowaniach splonęły trzy krowy, dwa wolce, wialnia i sieczkarnia.

*

Kazimierz W., jadąc szosą z Wysokiego Mazowieckiego do Zambrowa, zjechał gwałtownie na lewą stronę, by uniknąć potrącenia trzech pieszych, którzy nagle wtargnęli na jezdnię. Po tym gwałtownym manewrze jego wołga uderzyła w jadącego ze strony przeciwnej fiata 125p, którym kierował funkcjonariusz MO z RUSW w Wysokiem Maz. Piesi zbiegli przed ustaleniem ich tożsamości.

*

Leszek B. (lat 36) z Wysokiego Mazowieckiego i Zbigniew T. (lat 21) z Sokołów, pobili i skopali na ulicy Nowy Świat w Sokołach Mariana Sz. Złamali mu żebro i cztery kości śródręcza.

*

Gdy pani W., łomżynianka, po trzech dniach przypomniała sobie o suszącym się praniu, bielizny już na strychu nie było.

*

Funkcjonariusze posterunku w Goniądzu poszukują natomiast krowy Stanisława W. z Białosukni. Zwierzę zostało uprowadzone z obory.

*

Spłoszony na skrzyżowaniu ulic Polnej i Manifestu Lipcowego przez nadjeżdżającą ciężarówkę koń Stanisława M. szarpnął furmankę, która zaczepiła rowerzystkę Eugenię F. Kobieta dostała się pod wóz i wraz z rowerem ciągnięta była 12 metrów po drodze. Doznała ran tłuczonych głowy i wstrząsu mózgu.

*

W Czyżewie Złotym Jabłku znaleziono na jezdni zwłoki 27-letniego Mirosława W. z Czyżewa Siedlisko. Liczne rany głowy i inne wskazują, że został on potrącony przez samochód, który nie zatrzymał się, a nawet nie hamował w pobliżu miejsca wypadku. Innego wieczoru przechodzącego przez jednię w Czyżewie podpitego szewca Adama R. potrącił żółty „maluch" Kierowca również nie zatrzymał się. Obrażenia R. nie były, na szczęście, śmiertelne.

*

„Posezonowe" kradzieże odnotowano w Wiźnie, gdzie ze szkoły ukradzione zostały trzy śpiwory i sześć namiotów, oraz w Zambrowie — z parkingu przy bloku, w którym mieszka Sylwia T. zginął jej „Komar". Pani T. zgłosiła kradzież po dniu zwłoki. Być może zastanawiała się, czy warto dodawać milicjantom pracy i prowadziła dochodzenie na własną rękę?

*

W.D. z Bargłowa Kościelnego przyjechał do Rajgrodu i zdecydował odprężyć się w „Jaćwieskiej". Gdy doszło do szarpaniny z nieznanym mu mężczyzną, był jeszcze w stanie zauważyć, że z kieszeni kurtki wypadło mu 370 tysięcy zł, ale nie starczyło refleksu, by je zabrać z podłogi przed jakimś typem. Złodziejem okazał się 47-letni Bogdan P. z Rajgrodu, który już dwukrotnie karany był za podobne „wyczyny".

*

W południe 27 listopada Janina S. z Janczewa (gm. Wizna) weszła do łomżyńskiego „Jubilera" z myślą o ewentualnym zakupie. Miała przy sobie 140 tysięcy zł. Gotówka została jednak nie w kasie sklepu, a w kieszeni złodzieja.

*

Właściciel zakładu betoniarskiego, Tadeusz M., w kwietniu pożyczył 15 ton cementu na potrzeby swej firmy. RUSW w Łomży prowadzi przeciw niemu postępowanie przygotowawcze, gdyż nie zgłosił faktu tej pożyczki celem opodatkowania.

*

Ulicą Zawadzką w Łomży, w kierunku Gwardii Ludowej, jechała taksówka. Chwilę wcześniej przebiegło jezdnię kilkoro dzieci. W momencie mijania stojącego żuka wyskoczył zza niego dziesięcioletni chłopiec, prawdopodobnie próbował dogonić innych. Karetka odwiozła go na blok operacyjny.

*

Blacharz samochodowy Mirosław Z., zatrudniony w łomżyńskiej stacji obsługi „Polmozbytu", przechowywał we własnym mieszkaniu broń i amunicję bez zezwolenia. W domowym arsenale znajdowały się dwa rewolwery i dwie pneumatyczne wiatrówki.

*

Uczeń w prywatnym zakładzie murarskim w Zambrowie, Mariusz C., został przez Sąd Rejonowy w trybie przyspieszonym skazany na 90 tysięcy zł grzywny za nielegalne posiadanie pistoletu sygnałowego. Sąd orzekł ponadto przepadek broni.

*

Paweł S., kierowca z piątnickiej Stacji Hodowli i Unasiennia Zwierząt, przewoził saletrę amonową. Przywłaszczył sobie 500 kg nawozu.

*

Mieczysław M., 27-letni rolnik z Downar (gm. Goniądz), karany był już za znęcanie się nad członkami rodziny. Ostatnio wybrał bardziej wyrafinowaną metodę: by dokuczyć ojcu, zabrał mu 5 kwintali owsa.

*

Po instalacji piorunochronowej włamywacze weszli nocą na dach pawilonu handlowego w Szczepankowie, a stamtąd przez właz do wnętrza, gdzie sprawnie uporali się z zamkami do stoiska tekstylno-odzieżowego oraz spożywczego. W tekstyliach spodobał się im damski, popielaty płaszcz. Z rozprutej kasetki wyłuskali 25 700 zł. Kasetka na stoisku spożywczym zawierała prawdopodobnie 400 tysięcy (chociaż w zeszycie kasowym figurowało jedynie 130 tysięcy). Naturalnie zniknęły też butelki z wódką.

*

Nie po raz pierwszy wpadła na handlu wódką 41-letnia łomżynianka, Krystyna J. Ostatnio — na sprzedaży dwóch butelek czystej po 1200 zł.

*

W miejscowości Wojny-Izdebniki (gm. Szepietowo) spaliła się więźba dachowa drewnianej obory i około trzech ton słomy. Właściciel, Kazimierz J., poniósł straty w wysokości około 250 tysięcy zł.

*

Również z powodu zwarcia instalacji elektrycznej, którą rolnik Wincenty M. zmontował własnoręcznie, wybuchł pożar w jego zabudowaniach gospodarczych. Spłonęła stodoła kryta eternitem (wraz ze zbiorami), chlew, szopa i kurnik. Inwentarz udało się uratować.

*

Śmiercią samobójczą zakończył życie 33-letni nałogowy alkoholik S.O. Czterokrotny pobyt na leczeniu odwykowym nie przyniósł rezultatu.

KOMUNIKAT

DO PT WŁAŚCICIELI I ADMINISTRATORÓW NIERUCHOMOŚCI ORAZ PRZEDSIĘBIORSTW I INSTYTUCJI NA TERENIE MIAST WOJEWÓDZTWA ŁOMŻYŃSKIEGO.

W związku ze zbliżającym się okresem zimowym i możliwością powstania szkód w wyniku działania mrozów i opadów śniegu

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO WODOCIĄGÓW I KANALIZACJI w Łomży

PRZYPOMINA O OBOWIĄZKACH

1. Zabezpieczenia instalacji wodociągowej-kanalizacyjnej i wodomierzy przed działaniem mrozu i śniegu.
2. Nie dopuszczać do oblodzenia pokryw żeliwnych na zasuwach, hydrantach p.poż. oraz studniach rewizyjnych kanalizacji i kratkach wpustów deszczowych znajdujących się w pasie drogowym przyległym do zarządzanej posesji.
3. Regularnie oczyszczać rynsztoki celem ułatwienia spływu do kanalizacji wód opadowych z topniejącego śniegu.
4. Nie używać hydrantów p.poż. do celów nie związanych z gaszeniem pożarów.

Niedostosowanie się do powyższego może narazić na straty materialne oraz spowoduje postępowanie administracyjne w stosunku do osób odpowiedzialnych za powyższe.

K-462

Kolegium Rejonowe d/s Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zambrowie w postępowaniu zwyczajnym ukarało prawomocnym orzeczeniem z art. 87 § 1 i 2 KW, ob. Jana Zawistowskiego s. Wacława ur. 27.04.1965 r. zam. Zaręby Kościelne ul. Gęsia 6, karą zasadniczą grzywny w wysokości 36.000 zł z zamianą na 72 dni aresztu zastępczego jak okarę dodatkową orzekło: zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów na okres 2 lat oraz podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Kontakty" na koszt obwinionego, obciążyło kosztami postępowania w wys. 1600 zł za to, że: w dniu 22.09.1987 r. około godz. 10.30 w miejscowości Zaręby Kościelne na ul. Brewki Zakościelne prowadził motorower marki „Komar" nr rej. LOA 4825 będąc w stanie po użyciu alkoholu.

ANGIELSKI TŁUMACZENIA

(także drogą pocztową) pod nowym adresem: tłumacz przysięgły mgr Juliusz Świredo, **Łomża, Kołłątaja 2/3, os. Południe** (blisko Osiedlowego Domu Kultury).

K-510

ogłoszenia drobne

ZGUBIONO pieczątkę sklepową o treści: „Handlowa Spółdzielnia Inwalidów w Łomży, sklep Nr 23 w Drozdowie".

K-461

SPRZEDAM samochód Nysa towarowo-osobowa. Wiktor Krasowski, Zambrzyce Nowe, poczta Króle, gm. Rutki.

K-5119

kontakty

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszczuk, Stefan Ostrowski, Witold M. Patoka, Gabriela Szczęsna, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński Fotoreporter: Gabor Lorinczy Redaktor graficzny: Stanisław Kędzielawski Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk **STALE WSPOLPRACUJĄ:** Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworniczak, Bronisław Gołębiowski, Wiesław Kołowski, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Kurianiuk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. **KONCEPCJA GRAFICZNA** — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja) Telex 85-22-85 Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr. mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1 Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr. mgr Witalis Sadowski kierownik Oddziału Gazet i Czasopism — Stanisław Fajst Zam. 1625/87 r. Nakład 31 000 egz. PL ISSN 0208 6840 Nr indeksu 36 328 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7 tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 260 zł, półrocznie — 520 zł, rocznie — 1040 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. W-3

radźmy sobie

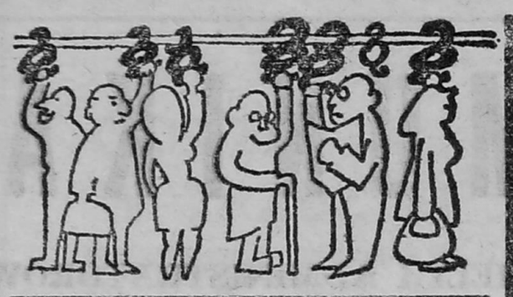

JOANNA S.: „Po zmianie pracy musiałam swoją książeczkę zdrowia pokazać nowej kadrowej. Teraz współpracownice wypytują mnie, na co się leczyłam w poradni zdrowia psychicznego i czy już jestem bezpieczna dla otoczenia. Czy nie ma przepisu ochraniającego tajemnicę prywatną?"

Odpowiada prokurator — mgr KRYSTYNA MICHALCZYK-KONDRATOWICZ.

Zdrowie, cześć, moralność itd. są — w rozumieniu kodeksu cywilnego — dobrami osobistymi człowieka. Pozostają one pod ochroną prawa cywilnego niezależnie od ochrony przewidzianej w innych przepisach. Pani, zgodnie z art. 24 § 1 k.c., przysługuje prawo odwołania się do właściwego Wydziału Cywilnego Sądu Wojewódzkiego, aby osoba, która naruszyła jej dobro osobiste, dopełniła czynności potrzebnych do usunięcia jego skutków, a w szczególności ażeby złożyła stosowne oświadczenie.

Można również rozważyć możliwość wszczęcia postępowania karnego przeciwko kadrowej z art. 264 § 1 k.k., tj. o zdradę tajemnicy służbowej, informację dotyczącą stanu zdrowia Pani uzyskała ona bowiem z racji wykonywanych czynności służbowych. Stanowiła ona tajemnicę służbową, której powinna była dochować.

Rozpowszechnienie tych danych pośród współpracownic stanowi przestępstwo przewidziane w art. 264 k.k. Jest ono ścigane w trybie publiczno-skargowym, zatem Pani o czynie kadrowej winna zawiadomić organy ścigania bądź prokuraturę.

Należy przy tym dodać, iż oba tryby postępowań są niezależne od siebie, tj. wniesienie powództwa do Sądu nie wyklucza postępowania karnego i odwrotnie.

ŚLEDZIE WIGILIJNE NA CZTERY SPOSOBY

W śmietanie. 25 dkg wymoczonych filetów pokroić na dzwonka i ułożyć w dwóch rządkach na wąskim półmisku. Przykryć je sosem złożonym z 10 dkg gęstej śmietany oraz — posiekanych — jabłek i cebuli, a przyprawionym solą, cukrem i pieprzem. Całość posypać szczypiorkiem i przystroić małymi listkami sałaty i cząstkami pomidorów.

W majonezie. 15 dkg majonezu rozmieszać z łyżką musztardy i przyprawić do smaku. 25 dkg filetów przekroić wzdłuż i w poprzek, a otrzymane paski zwinąć w ruloniki i ułożyć dookoła sosu wypełniającego środek okrągłego półmiska, a brzegi udekorować zieleniną.

Po japońsku. 15 dkg groszku konserwowego wymieszać z 15 dkg majonezu i wyłożyć równo na podłużny półmisek, 30 dkg filetów pokroić w dzwonka i ułożyć je po obu stronach groszku. Udekorować plastrami korniszona, ćwiartkami jaj i drobno posiekaną cebulą.

W sałatce. Ugotować 15 dkg drobnej fasoli, ostudzić i połączyć z 15 dkg pokrojonych w kostkę śledzi, utartym jabłkiem i drobno posiekaną cebulą, po czym zalać sosem przyrządzonym z 1/2 szklanki śmietany i 2 łyżek musztardy. Przyprawić solą, cukrem i pieprzem, udekorować zieleniną.

PRZED BALEM

● **Panie o cerze suchej nakładają maseczkę z 1/2 żółtka, łyżeczki oliwy i cytryny lub łyżki świeżego twarożku i 1/2 żółtka, a choćby i mleka (w nasączonej gazie).**

● **Te o cerze tłustej robią maseczkę z łyżeczki twarożku utartego z 1/2 białka.**

● **Mające cerę normalną smarują twarz i szyję łyżką utartego twarogu z łyżką mleka i łyżeczką miodu.**

● **Wszystkie przykrywają oczy kompresami z esencji herbacianej lub rumianku i układają się na 20 min. z nogami ułożonymi powyżej reszty ciała.**

PONCZ NOWOROCZNY W TRZECH WYDANIACH

★

★ *Zawartość puszki z ananasem w kostkach przelewamy do wazy i mieszamy z 6 łyżkami płynnego miodu. Podgrzewamy mocno butelkę białego wytrawnego wina oraz 1/2 l rumu. Pierw wlewamy do wazy gorące wino, następnie — małym strumieniem — rum i zapalamy.*

★

★ *Zagotowujemy 1/2 kg cukru z 1/2 l wody, odszumowujemy, po czym wlewamy butelkę białego wytrawnego wina, szklankę rumu i sok z cytryny, a na 10 min. wkładamy skórkę z niej. Podgrzewamy. Podajemy w wazie — zapalony!*

★ *2 i 1/2 dkg dobrej herbaty zalewamy litrem wrzątku na 8 min., po czym napar wlewamy do ogrzanej wazy, dodajemy 35 dkg cukru, pokrojoną (ze skórką) na plasterki cytrynę oraz 1/2 l podgrzanego rumu. Gasimy niepotrzebne światła, zapalamy poncz (patyczkiem, bowiem siarka z zapałki zepsuje aromat), płonący rozlewamy do szklanek i... składamy sobie życzenia noworoczne.*

„Najlepsze są prezenty pożyteczne. Na przykład: ja jemu chusteczki, on mnie futro."

Brigitte Bardot

Rys. Henryka Cebuli

znad spławika

kij z kijem

Stałem sobie w listopadzie między krzakami nad kanałem Rostki (niedaleko pierwszego mostu) i łowiłem na przepływankę. Było spokojnie jak nigdy. Nad ranem wiatr trochę pohulał w olszynach po drugiej stronie, drobny deszczyk postraszył, ale z nastaniem dnia uspokoiło się, chmury odpłynęły na południe, tylko brać kij i grzać — jak mawia mój przyjaciel Stanio.

Więc grzałem. Przy takiej pogodzie nie trzeba było zarzucać znad głowy; wystarczył lekki ruch szczytówką, żeby spławik wylądował na środku kanału.

Tego dnia brały wyjątkowo maleńkie płotki; jesienią w ogóle trzeba mieć szczęście, by trafić na sztuki, które regulamin PZW pozwala wkładać do sadzyka. Ciągnąłem właśnie kolejną płotkę, gdy z prawej strony usłyszałem sapanie. Spojrzałem tam i zobaczyłem nieznajomego, rozkładającego sprzęt w podobnym do mego „okienku". Po kilku minutach spławik jego wędki chlapnął na wodę. Zapanowała niezmącona cisza.

— O k...a! — zaryczał po kilku minutach gość. Przestraszyłem się.

— Stało się coś? — zapytałem.

— Co się miało stać?

— Gorzej panu?

— Pewnie że gorzej, jak na te pistuny patrzę.

Tu zaciął, zwinął żyłkę i wyjął z wody płoteczkę wielkości kciuka. Przed wrzuceniem jej do wody powiedział zdanie, które — po zastąpieniu mocno nieprzyzwoitych wyrazów równoznacznikami — zabrzmiało jak żywcem wyjęte z opowiastki Wiecha: „A płyń, ty, w ogon raka z jednym szczypcem brana!"

Znowu chlapnięcie, cisza i znów ryk! — W mordę żeż ty, szproto jedna!

Spojrzałem w jego stronę.

— Panie... — powiedziałem błagalnie.

— Co „panie"! Ciągnie taka jak rekin, dasz w ryj i nic. O... znowu niuta! Ciąć, nie ciąć? Kij go wie...

Nic nie powiedziałem. On zarzucił, zaciął i znów zaryczał: — Krew mnie chyba zaleje!

Zebrałem sprzęt i przeniosłem się na drugie miejsce. A co, miałem u ryb za adwokata robić? W prawdzie przysłowie mówi, że ryby głosu nie mają, ale na takie bluźnierstwa mogłaby któraś głowę wystawić i powiedzieć, co myśli o takim kiju z kijem.

CIACH

★ **Jak zainteresować sobą przedmiot westchnień?**

Wyjaśnia psychoseksuolog mgr JOANNA DARDZIŃSKA

Chcąc zainteresować sobą innego człowieka należy najpierw uświadomić sobie fakt, że nasz sukces zdeterminowany jest wieloma czynnikami. Każdy człowiek posiada własny obraz partnera przeciwnej płci, określony przez modę i ideały piękna, przyjęte w danym czasie i środowisku, ale i przez własne doświadczenia, związane z obiektem pierwszej miłości (zwykle podobają się nam ludzie podobni do pierwszego obiektu miłości).

W wyborze partnera zasadniczą rolę odgrywa też zgodność między faktycznym a oczekiwanym przez nas jego zachowaniem. Zgodność ta zależy od podobnego wykształcenia, inteligencji, przynależności do tej samej kultury, religii, środowiska.

Badania Hurlocka dowiodły, że powodzenie u płci przeciwnej warunkowane jest w większym stopniu cechami charakteru, osobowości, kulturą zachowania, sposobem bycia i myślenia niż cechami zewnętrznymi, np. urodą.

Aby zainteresować sobą przedmiot westchnień, trzeba w pierwszym rzędzie mieć czym. Zwrócić na siebie uwagę można np. przez kulturalne, eleganckie zachowanie, dowcip, pogodę ducha, zapał, uprzejmość, prawdomówność, lojalność, upór w dążeniu do celu. Wypadałoby też poznać przynajmniej część jego ideałów, pragnień, oczekiwań i starać się im sprostać przez wyeksponowanie bądź wypracowanie ich w sobie. Możemy więc zacząć uprawiać to samo hobby, chodzić do kina i na koncerty, jeżeli wybraną osobę one właśnie interesują.

Niektórzy badacze twierdzą, że nasz wybór (sympatia od pierwszego wejrzenia) określonego partnera spowodowany jest podprogowymi bodźcami zapachowymi, produkowanymi przez każdego człowieka, nie jest więc całkiem świadomym wyborem.

CZWARTEK 24.12.87
Program 1

16.10. DT — Wiadomości.
16.20. „Wawel gotycki" — tel. film dok.
17.00. Kolędy śpiewa „Ars Nova".
17.15. Teleexpress.
17.30. „Błogosławiony Brat Albert" — tel. film dok.
18.10. Wieczorynka.
19.00. Kolędy śpiewa Wiesław Ochman.
19.30. Dziennik.
20.00. Teatr TV: Aleksander Fredro — „Pan Jowialski".
22.05. „Nad złotym stawem" — film fab. USA.
23.55. Transmisja „Pasterki" z Watykanu.

Program 2

16.30. „5—10—15".
17.00. „Boże Narodzenie królewny Śnieżki" — film fab. USA.
17.40. Opowieści wigilijne.
18.00. Program lokalny.
18.30. „Wigilia z Chopinem" (1) — program muzyczny.
20.00. „Błazen królewski" — franc. film fab.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Kolędy poetyckie.
22.10. „Scherzo wigilijne" — program muzyczny.
23.25. Kolędy jazzowe.
23.55. „Zapomniana melodia" — pol. komedia archiwalna.

PIĄTEK 25.12.87
Program 1

9.00. „Asterix i niespodzianka Cezara" — franc. film anim.
10.20. „Janczarów dźwięk — stare dworki polskie".
10.40. W starym kinie: „Paweł i Gaweł" — pol. film fab.
12.05. „Maria Rodziewiczówna" — tel. film. dok.
13.10. Teatr dla dzieci: Jan Brzechwa — „Kopciuszek".
14.00. „Alibabki" — reportaż muzyczny.
14.30. „Krakowskie obyczaje" — tel. film dok.
15.25. Marek Sierocki przedstawia.
16.00. „Zmiennicy" (8).
17.00. Teleexpress.
17.15. Teatr Muzyczny: Julian Tuwim — „Rozkoszna dziewczyna".
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Upał i kurz" — ang. film fab.
22.05. Włodzimierz Korcz zaprasza.
22.30. Muzyczne podróże.
23.05. „Julie Andrews na gwiazdkę" — program rozrywkowy.
0.05. Kino Nocne: „Szczęki I" — film fab. USA.

Program 2

12.15. „5—10—15".
12.45. Magazyn „102".
13.50. „Wyspa koralowa" — kan. film przyrod.
14.20. Spotkanie z Katarzyną Figurą.
15.00. Świąteczny blok Bogusława Kaczyńskiego.
19.30. Teatralne malowanie Franciszka Starowieyskiego.
20.00. „«Harnasie» Karola Szymanowskiego" — film baletowy.
20.45. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Kolędy.
22.05. „Isadora" — ang. film fab.
0.05. 60 minut w „Loży" — program kabaretowy.

SOBOTA 26.12.87
Program 1

9.00. „Wodne dzieci" — pol.-ang. baśń filmowa.
10.15. Stare, nowe, najnowsze.
11.15. „Przebudzenie" — tel. film dok.
12.00. Koncert życzeń.
13.00. Kolędy i pastorałki śpiewa Anna Jurksztowicz.
13.25. Teatr dla dzieci: Andrzej Maleszka — „Ballada o olbrzymach".
14.05. Popołudnie z X Muzą.
15.05. „Gdzie są taśmy z tamtych lat".
16.05. „Czarodziejska planeta" — ang. film baletowy.
17.15. Teleexpress.
17.30. Plebiscyt piosenki — Opole '88.

18.30. „Butik".
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Seksmisja" — pol. film fab.
22.05. Studio Sport.
22.35. Gospel śpiewają „The Johny Thompson Singers".
23.20. Kino Nocne: „Szczęki II" — film fab. USA.

Program 2

12.30. „5—10—15".
13.00. „Kino—oko".
14.10. „Wielka gra" — teleturniej.
15.15. Z serii „Sherlock Holmes": „Znak czterech"— ang. film animowany.
16.05. „Sponsor" dla dzieci — teleturniej.
16.35. Kolekcja obrazów im. pp. Porczyńskich.
17.00. Legendy filmu: Rita Hayworth.
18.00. Program rozrywkowy.
19.00. Wywiady Ireny Dziedzic.
19.30. Zwyczaje i obrzędy.
20.15. Kraków na antenie „Dwójki": „Piątek—świątek".
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Kiedy pierwsza gwiazda" — kolędy współczesnych kompozytorów polskich.
22.00. „Krzysztof Kolumb" (4-ostatni).
23.15. „Dekameron" — widowisko na motywach utworu Giovanniego Boccaccia.

NIEDZIELA 27.12.87
Program 1

9.00. „Przygody Dot" — austral. film fab.
10.30 DT — Wiadomości
10.35. „Arka Noego" — serial przyr.
11.35 „Zajechał woz do Brennej" (1).
12.05. Biała broń: „Historia i zabawa" — serial dok.
12.35. Siedem anten.
13.20. Teatr dla dzieci: „Ballada o olbrzymach" (2).
14.05. Kraj za miastem.
14.45. „Zajechał wóz do Brennej" (2).
15.15. „W rytmie disco" (22).
16.45. „Prezydenci".
17.15. Teleexpress.
17.30. „Zajechał wóz do Brennej" (3).
18.00. Program rozrywkowy.
18.20. Antena.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Późny start" (4) — serial ang.
20.55. Pegaz.
21.45 Sportowa niedziela.
22.20 Klub międzynarodowy.
22.50. DT — Wiadomości.

Program 2

12.00. „5—10—15".
12.45. Jutro poniedziałek.
12.45. Kino familijne: „Niebezpieczna zatoka" (8).
13.15. „Fantazje na smyczki" — program muzyczny.
14.00. Zwierzęta świata: „Podniebni łowcy" — austral. serial przyrod.
14.30. „Rozgrywki rodzinne" — teleturniej.
15.50. Magazyn „102".
16.25. „Jedwabny szlak" (12).
17.15. „Gilda" — film fab. USA.
19.00. „Moje piosenki" — Krzysztof Krawczyk.
19.30. „Stanisław Moniuszko — wielka miłość Marii Fołtyn" (1).
20.30. Studio Sport.
21.15. „Ojczyzna — polszczyzna".
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Korzenie" (11).
22.30. Gość „Dwójki" — Adam Hanuszkiewicz.
22.50. Wieczorne wiadomości.

PONIEDZIAŁEK 28.12.87
Program 1

16.20. DT — Wiadomości.
16.25. „Rambit" — teleturniej.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Jan Serce" — serial TVP.
18.30. „Laboratorium".
18.50. Dobranoc
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik.
20.00. Teatr TV: Paweł Trzaska — „Pasjans".
21.10. Program publicyst.
21.40. „Muzyk" — tel. film dok.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102".
18.00. Program lokalny.
18.30. „Ryzyko" — teleturniej.
19.00. „Dom angielski" (2): „Wszystko dla wygody i elegancji".
19.30. Życie muzyczne.
20.00. „Jak to ruszyć" — publicystyka ekonom.
21.00. Powtórka z historii.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Biografie: „Życie Augusta Strindberga" (5).
22.45. Wieczorne wiadomości.

WTOREK 29.12.87
Program 1

16.20. DT — Wiadomości.
16.25. „Rambit" — teleturniej.
17.15. Teleexpress.
17.30 Gazeta rolnicza.
18.00. „Hart Rougue" — program rozrywkowy.
18.30. Klinika zdrowego człowieka.
18.30. Dobranoc.
19.00. Program publicystyczny.
19.30. Dziennik.
20.00. „Na przyszłość będziemy sprytniejsi, stary" — komedia CSRS.
21.25. Konferencja prasowa rzecznika rządu.
21.50. „Spotkanie z Rapperswilem" — tel. film dok.
22.15. Informator wydawniczy.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102".
18.00. Program lokalny.
18.30. „Muppet show, czyli rewia gwiazd": Roger Moore.
19.00. Magazyn „102".
19.30. „Zimą w dworku Chopina" — program muzyczny.
20.00. Orędzie noworoczne.
20.25. Sylwester w Teatrze Wielkim w Warszawie: „Zemsta nietoperza" (1).
21.30. Panorama dnia (w przerwie spektaklu).
21.45. „Zemsta nietoperza" (2).
24.00. Życzenia noworoczne.
0.05. „Zemsta nietoperza" (3).
0.25. Sylwester w „Dwójce": Dyskoteka u Niedźwiedzia".
2.35—3.45. „Wolność równość, bigos" — franc. film fab.
18.30. „Moja Japonia" — węg. film dok.
19.00. „Ballada o drodze" — program rozrywkowy.
19.30. Program publicyst. kult
20.00 „Klucz do nowej muzyki"
21.30. „Polak dzieli" — reportaż.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Adaptacje: „Szlacheckie gniazdo".
23.30. Wieczorne wiadomości.

ŚRODA 30.12.87
Program 1

16.10. DT — Wiadomości.
16.25. „Rambit" — teleturniej.
16.45. Teleexpress.
17.00. Studio Sport.
18.00. „Radar" — wojskowy magazyn filmowy.
18.20. „Dawniej niż wczoraj" — mag. hist.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Urocza idiotka" — franc. komedia film.
22.00. „Pagart" przedstawia: Vicki Benckert — „Trochę więcej niż marzę".
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102".
18.00. Program lokalny.
18.30. Studio Sport.
19.00. „Ojczyzna — polszczyzna"
19.30. „Przeboje Odeonu" — program muzyczny.
20.05. Film dokumentalny.
21.00. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Studio Teatralne „Dwójki": Dimitri Frankel Frank — „Lustro 1" i „Lustro 2".
22.55. Wieczorne wiadomości.

CZWARTEK 31.12.87
Program 1

9.35. Domowe przedszkole.
10.00. „Wodnik i Zuzanna" — film fab. CSRS.
15.25. DT — Wiadomości.
15.30. „Poligon" — wojskowy program publicyst.
15.55. „Wyprawy «Cojaka» do «Tik-Taka»" — sylwestrowy program dla dzieci.
16.45. Sylwestrowe Zakłady Totalizatora Sportowego.
17.15. Teleexpress.
17.30. W starym kinie: „Romeo i Julcia" — pol. film fab.
18.50. „Prywatka z satelitą".
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. Orędzie noworoczne.
20.25. „Francuski łącznik" — film fab. USA.
22.20. „Prywatka z satelitą".
22.40. Kabaret Olgi Lipińskiej.
23.40. „Prywatka z satelitą".
24.00. Toast noworoczny.
0.05. „Kabaretro" — program rozrywkowy Andrzeja Strzeleckiego.
0.30. „Żądło" — film fab. USA.
2.35. „Prywatka z satelitą".
2.45. „Peters's pop show" — program rozrywkowy.
4.00—4.10. „Prywatka z satelitą".

Program 2

12.15. Studio Sport.
15.25. „5—10—15".
15.55. Recital „Lady Pank".
16.30. „Biały Wilk" (1) — serial franc.
17.30. „5—10—15".
18.00. Program lokalny.
18.30. „Muppet show, czyli rewia gwiazd": Roger Moore.
19.00. Magazyn „102".
19.30. „Zimą w dworku Chopina" — program muzyczny.
20.00. Orędzie noworoczne.
20.25. Sylwester w Teatrze Wielkim w Warszawie: „Zemsta nietoperza" (1).
21.30. Panorama dnia (w przerwie spektaklu).
21.45. „Zemsta nietoperza" (2).
24.00. Życzenia noworoczne.
0.05. „Zemsta nietoperza" (3).
0.25. Sylwester w „Dwójce": Dyskoteka u Niedźwiedzia".
2.35—3.45. „Wolność równość, bigos" — franc. film fab.

Dwanaście drużyn uczestniczy w rozgrywkach łomżyńskiej ligi robotniczej w brydżu sportowym. Zawody prowadzone są w dwóch grupach. W grupie I rozegrano dwie kolejki i zanotowano wyniki: Bawełna — WUSW 16:14, KW PZPR — PPS I 15:15, PHS — ZNP 12:18, KW PZPR — Bawełna I 6:24, WUSW — ZNP 25:5 i PPS I — PHS 5:25. Natomiast w grupie drugiej zanotowano rozstrzygnięcia: Bawełna II — WPBK 12:18, Zefir — PPS II 16:14, PSS — ZBR 25:5, WPBK — ZBR 4:25, PPS II — PPS 25:4, Bawełna II — Zefir 4:25. Po dwóch sesjach w grupie I prowadzi drużyna Bawełny I przed drużynami: WUSW, PHS, PZPR, ZNP i PPS I, a w grupie drugiej: Zefir przed PPS II, PSS, ZBR, WPBK i Bawełną II.

☆ ☆ ☆

Dziś zamieszczamy tabelę rundy jesiennej rozgrywek ligi robotniczej w piłce nożnej. Mecze zaległe rozegrane zostaną dopiero na wiosnę przyszłego roku, ale nie będą one miały wpływu na układ czołówki tabeli.

1. *Bawełna I*	19: 3	24: 8
2. *RDP*	14: 8	21: 5
3. *PPS*	14:8	22:23
4. *Bawełna II*	13: 7	15: 7
5. *WPBK*	13: 9	22:19
6. *Nauczyciele*	11: 9	22:13
7. *Fabryka Mebli*	11:11	18:20
8. *WUSW*	9: 9	18:17
9. *Taxi*	8:14	16:25
10. *SHiUZ*	6:16	16:22
11. *Melioracja*	5:13	9:14
12. *Motto*	3:19	12:32

☆ ☆ ☆

15 grudnia w Goniądzu rozegrano gminne eliminacje turnieju tenisa stołowego o puchar „Kontaktów", w którym startowali uczniowie szkół podstawowych z Klewianki i Goniądza. Awans na eliminacje rejonowe stał się udziałem (rocznik 1973/74): Iwony Okońskiej i Beaty Romanowskiej oraz Krzysztofa Szklarzewskiego i Mariusza Kolimowskiego — wszyscy z Klewianki. Spośród dziewcząt rocznika 1975/76 do dalszych gier zakwalifikowały się Emilia Stankiewicz i Krystyna Świerzbińska — obie z Klewianki, a z chłopców: Grzegorz Bobek z Klewianki i Grzegorz Pracki z Goniądza. W grupie najmłodszych (rocznik 1977 i młodsi) awans wywalczyły Aneta Dembowska z Klewianki i Małgorzata Rosińska z Goniądza oraz Wojciech Wojtkielewicz i Krzysztof Laskowski — obaj z Goniądza.

Wyrazy głębokiego współczucia
Kol. ZBIGNIEWOWI ŁEPKOWSKIEMU
z powodu zgonu
MATKI
składają:
Zarząd oraz pracownicy Spółdzielni Mieszkaniowej „Perspektywa" w Łomży.
K—464

Wyrazy szczerego współczucia
Kol. JÓZEFOWI SZWARCZEWSKIEMU
z powodu zgonu
OJCA
składają:
Rada, Zarząd i współpracownicy Spółdzielczego Gospodarstwa Rolnego w Nowogrodzie.
K—465

Z tygodnia na tydzień

Skomlące zachcianki

organ samolistny pod redakcją Wiesława Majnickiego

Rys. Henryka Cebuli

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

PIJE KUBA...

Pije Kuba do Jakuba
Jakub do Michała
Piję ja, pijesz ty
Pije Polska cała

Kuba już pijany
Jakub ledwie dyszy
Michał koło ściany
Widzi białe myszy

Antoni ma kaca
Józef oślepł z wódy
Zbigniew nie powraca
Z krainy ułudy

Stefan poi Marka
Marek chla z Barbarą
Przebrała się miarka
Półlitrową miarą

Ojców wzorem matki
Tęgo dają w rurę
Za matkami dziatki
Popijają chórem

Pije Kuba do Jakuba
Jakub do Michała
Wódą, winem, piwem
Stoi Polska cała

Nota biograficzna: W.A.J. (nazwisko i adres znane podredakcji).

dom gościnny

gość w domu - będzie pijaństwo

Z NOWEJ KSIĘGI PRZYSŁÓW POLSKICH

zamiast „Uniwersalnej wróżby tygodnia"

„I począł Noe sprawować ziemię i nasadził winnicę. I pijąc wino upił się i obnażył się w namiocie swoim. Co ujrzawszy Cham, ojciec Chanaan, to jest, że łono ojca jego odkryte było, powiedział to dwiema braci swej na dworze. Sam tedy i Japhet włożyli płaszcz na ramiona swoje, a idąc na wstecz, zakryli łono ojca swego, a oblicza ich odwrócone były i ojcowskiego łona nie widzieli."

KSIĘGA „GENEZIS"

SZCZEP WINNY

Mówią Araby, iż gdy szczep winny
Adam posadził, diabeł zbyt czynny
Podlał krwią pawia, co Adam szczepił
A gdy się w wzroście szczep coraz krzepił
I listek wydał.

Diabeł krew małpią do pierwszej przydał.
Zeszły jagody; skropił lwią juchą.
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystko posoką świnią.
Cóż teraz czynią?

Oto: gdy wina szklankę kto łyknie,
Jak paw się nadmie, po drugiej krzyknie;
Skacze jak małpa, gdy szklanki mnoży;
Po piątej, szóstej jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcej przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy staje się świnia.

IGNACY KRASICKI

z urzędowej tablicy ogłoszeń

„Uwaga pracownicy tut. Zakładu Pracy!

W związku z nadchodzącymi świętami dyrekcja Zakładu składa wszystkim życzenia wszelkiej pomyślności w życiu osobistym i na drodze pracy zawodowej, która w drugim etapie reformy wymaga od wszystkich większego niż dotychczas wysiłku i poszanowania, w zgodzie z założonymi ambitnymi celami poprawy materialnej i dobrobytu społeczeństwa w naszej Ojczyźnie.

Dyrektor
.....
(podpis czytelny)

SWIĄTECZNE JEDNO DANIE

NASTOLNIK

bożonarodzeniowy

Schab, polędwicę, szynkę, baleron, kiełbasę białą i kolorową, także palcem napychaną, bigos, galaretkę wieprzową, gulasz bez podrobów, majonez, chrzan, ćwikłę, pikle, grzybki marynowane, indyka, kurę, kaczkę, gęś, makownik, sernik, piernik, postwić na jednym stole przybranym gałązkami jedliny i sianem. Konsumować przez trzy dni, na okrągło, od świtu do późnej nocy.

GOSPODYNI

przedruki okolicznościowe

ZBIGNIEW JUJKA

Druk: „Szpilki", komentarz niepotrzebny.

PSYCHOZABAWA

CZY JESTEŚ UZALEŻNIONY?

Jeśli chcesz poznać, czy i w jakim stopniu jesteś uzależniony od alkoholu, odpowiedz na poniższe pytania zaznaczając odpowiedź TAK lub NIE — pierwszą, jaka Ci przyjdzie do głowy. Zaufaj sobie i — wyniki sprawdź dopiero po wypełnieniu ankiety.

1. Czy na widok butelki wypełnionej jakimś bezbarwnym płynem doznajesz miłego skurczu w okolicach żołądka?
TAK NIE

2. Czy przed wypiciem pierwszej szklanki drżą Ci ręce?
TAK NIE

3. Czy sięgając po pierwszy kieliszek masz świadomość, że z pewnością nie będzie on ostatni tego dnia?
TAK NIE

4. Czy po wypiciu 1/2 litra możesz wypić jeszcze parę kieliszków?
TAK NIE

5. Czy umiesz powiedzieć „nie!", jeśli koledzy zaproponują Ci wspólną popijawę?
TAK NIE

6. Czy lubisz mieć kaca?
TAK NIE

7. Czy zdajesz sobie sprawę z faktu, że wódka Ci szkodzi?
TAK NIE

8. Czy odpowiadają Ci awantury domowe, wybuchające od czasu do czasu z powodu tego, że pijesz?
TAK NIE

OBLICZANIE WYNIKÓW

Za wszystkie odpowiedzi na pytania 1—8 daj sobie po 10 punktów. Nie ma bowiem żadnego znaczenia, jak odpowiedziałeś — TAK czy NIE, znaczenie ma to, że pijesz niestety. Za odpowiedź TAK na pytanie piąte możesz odjąć 10 punktów od sumy i w ten sposób zamiast 80 będziesz miał ich 70, co i tak oznacza, że balansujesz na krawędzi. Z piciem skończ od dzisiaj, innego wyjścia nie masz.

Z ŻYCIA WYŻSZYCH SFER

Menu obiadu wydanego przez Augusta II Mocnego. Gości łącznie z królem było 11.

1. Cielaków — sztuk 2.
2. Szynki wieprzowe — 4.
3. Kapłonów — 7.
4. Indorów — 3.
5. Sarna — 1.
6. Kaczek dzikich — 15.
7. Półgęsków — 8.
8. Prosięta pieczone — 4.
9. Półosiec — 1.
10. Paw — 1.
11. Szaraków — 10.
12. Okowity — 2 beczki.
13. Gorzałki gdańskiej — 3 stągwie.
14. Wina reńskiego — 4 beczki.
15. Miodu syconego — 6 konwi.
16. Piwa chmielnego — 4 beczki.